

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“

(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2, k. 50, rocznie rs. 10

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracja Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

OGŁOSZENIA wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: Nasza emigracja do Brazylii. — Tydzień polityczny. — *Odcinek:* Mój siostrzeniec (Wspomnienie), p. W. S. — *Życie społeczne:* Z Austrii, p. S. — *Baudania naukowe:* Home-steady w Niemczech, p. K. R. Żywickiego. *Literatura i sztuka:* Apoteoza czy satyra? p. Leona Winlarskiego. — *Aż dwa...*, p. Zyg. Piet. — Aleksander Głowacki (Bolesław Prus), VII. — J. K. Gregorowicz (Wspomnienie pośmiertne). — *Fejleton:* Liberum veto, p. Posła Prawdy. — Zdała, p. Z. Atanazego. — O prawdę (W sprawie kulparkowskiej), p. Uhma. — Kronika. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

Szanownych abonentów kwartalnych prosimy o odnowienie przedpłaty. Odpowiadając przytem na liczne zapytania, donosimy, że obie zapowiedziane przez nas książki: **Encyklopedia dla dzieci** (ilustrowana) i **Psychologia dziecka** znajdują się w druku i wkrótce wyjdą.

NASZA EMIGRACJA DO BRAZYLII.

Jakkolwiek fakt wzmożenia się emigracji ludu naszego z gubernij pogranicznych (a zwłaszcza piotrkowskiej) jest niewątpliwym, ani jego dążności, ani rozmiarów ściśle nie znamy. Przeszkadza tu z jednej strony trudność mierzenia takiego wylewu, niezawsze dostrzegalnego i niezawsze zdradzającego swe cele; z drugiej — stare nałogi naszych korespondentów prowincjonalnych, którzy dotąd ufają nieskontrolowanemu wieściom, nie wahają się ubarwiać je fantazją i lekceważą prawdę. Od lat już wielu prasa powołuje do współpracownictwa i kształci tych sprawozdawców, ucząc ich zapomocą rad, napomnień, próśb, a nieraz smutnych doświadczeń, że tylko doniesienia wiarogodne mają wartość i wywierają wpływ; mimo to ciągle wśród zastępu reporterów prowincjonalnych zaledwie drobny procent zasługuje na kredyty wiary w swych zeznaniach. Bez sumiennej zaś ich pomocy niepodobna zbadać i ocenić tak złożonego zjawiska, jak emigracja, gdyż ciągle potykamy się musimy o wiadomości sprzeczne. Według korespondenta *Wieku* z okolic Warty, „jakiś szal ogarnął ludność wiejską, która widzi dziś w Brazylii kraj mlekiem i miodem płynący i czekający tylko na przybyszów zamorskich. W naszych stronach — pisze on dalej — niema prawie wsi, w którejby kilka albo kilkanaście rodzin nie opuściło kraju, skazując się dobrowolnie na pewną nędzę i zgubę; niema dwo-

ru, w którymby nie ubyło po kilku lub kilkunastu ludzi na ordynaryi, porzucających służbę w ciągu kwartału. W ruchu tym biorą udział nawet zasobni gospodarze, posiadający po parę włók gruntu, których nie powinno skłaniać do awanturniczej wyprawy. Pod wpływem bałamutnych wieści porzucają wszystko, sprzedają ziemię za bezcen i całemi rodzinami emigrują do kraju, gdzie według wiarogodnych wiadomości jednemu z ich znajomych, czy krewnych czarni mieszkańcy tamtejsi ofiarowali za zwykłe gliniane dwojaczki od jedzenia dwie duże bryły, srebrną i szczerozłotą.“ Zdawałoby się wobec tego sprawozdania, że emigracja ludności *wiejskiej* przybrała olbrzymie rozmiary. Ale w tymże numerze *Wieku* znajdujemy korespondencję z Lutomierska do *Głosu*, która znowu tak świadczy: „Co się tyczy włościan, to wśród nich emigracja jest *siłą* i dotknęła przeważnie *niemców*. W tych dniach rozmawiałem z pewnym włościaninem z pobliskiej wsi i zapytałem go, czy od nich wybierają się do Brazylii. Odebrałem odpowiedź, która mnie wielce zdziwiła: „Panie, co nam myśleć o emigracji; my tego nie możemy robić, póki nie wyrugujemy z gruntów Niemców i Żydów. Niech ci emigrują, my zaś będziemy od nich grunta kupowali i dopiero gdy zbraknie Niemców i Żydów, a wszystkie grunta przejdą do nas i będzie nam za ciasno, wówczas będzie można mówić o emigracji, a teraz jeszcze za wcześnie.“ Czy prawdę mówi ten polityk z pod Lutomierska, przypominający Ślimaka z *Placówki*, czy korespondent z nad Warty? A takich sprzecznych doniesień możnaby zestawieć długi szereg. Podczas gdy jedni na tysiące obliczają ilość wychodźców z ludu wiejskiego, inni albo przeczą faktowi, albo odnoszą go do robotników fabrycznych lub Niemców.

Odezwał się wreszcie w tej sprawie głos urzędowy. Gubernator piotrkowski wydał okólnik w celu zatamowania ruchu emigracyjnego, który — według niego — objawił się w wielu miejscowościach, przeważnie

jednak w fabrycznej okolicy łódzkiej wśród „włościan, rzemieślników i robotników.“ Wynikł on z podżegań agentów zagranicznych, którzy kłamliwymi obietnicami namawiają prostaczków do opuszczania kraju i szukania szczęścia w Brazylii, gdzie go nigdy nie znajdują. „Gorący bowiem jej klimat działa zabójczo na zdrowie wychodźców, w wielu okolicach grasuje epidemiczna ospa i żółta febra, a w całej północnej części panuje głód z powodu nieurodzajów w ciągu trzech lat ostatnich. Przemysł w ogóle, a fabryczny w szczególności stoi w Brazylii na najniższym stopniu rozwoju; to też praca rzemieślników i robotników fabrycznych nie ma tam żadnego popytu. Obszerne przestrzenie nigdy nieporuszonej gruntu wymagają ciężkiej i długiej uprawy, a praca rolnika wynagradza się zaledwie po wielu latach nadzwyczajnego wysiłku i bezustannych zachodów.“ Taką ma być owa ziemia obiecana, do której naganiane zagranicznych towarzystw przewozowych pędzą lud obalamucony. Do tych wyjaśnień p. gubernator dołącza przestrożę z kodeksu karnego dla tych, którzy rozczerwawszy się na miejscu i utraciwszy prawa obywatelskie swego kraju, chcieliby do niego kiedyś powrócić.

O ile tedy z przytoczonych oraz innych świadectw i dowodów wnosić można, emigracja z naszych kresów zachodnich wzrasta; ponieważ zaś główny jej potok wypływa z gubernii piotrkowskiej i ognisk wielkiego przemysłu, przeto jest widocznem, że ona naprzód porwała swym prądem robotników fabrycznych, a ci dopiero pociągali za sobą włościan. W stosunkach więc i położeniu pierwszych szukać należy jej źródła i tam ją tamować, nie samym wszakże zakazem, ale także poprawą warunków bytu ludności uciekającej z kraju. Niestety, poprawa ta zależy od nieskłonnych do filantropii fabrykantów, którzy ulegają tylko pobudkom i naciskowi własnego interesu, zwłaszcza gdy, jak w tym przypadku, są przybyszami obcymi. Jedyną nadzieję pokładać można w przypuszczeniu, że ich ten

nteres zmusi do pomyślenia o swym ludzkim inwentarzu roboczym. Bo jeżeli istotnie z Łodzi, Zgierza, Pabianic i innych osad fabrycznych wyemigrowało na wiosnę 4000 ludzi, to przy równomiernym postępie dalej mogą oni w liczbie bardzo zmaleć, a ręce do pracy zdadne — zdrożeć.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Jeżeli szwajcarska Rada związkowa zapewnia, że wiadomość o rewolucji tessyńskiej spadła na nią jak piorun z pogodnego nieba, to najzupełniej temu zdumieniu wierzymy. Rewolucya w Szwajcaryi — chociażby tylko w jednym kantonie! Kto mógł mieć sen tak dziwny — a cóż dopiero przypuszczać możliwość takiego wypadku. Skoro wszakże stał się — musimy wiedzieć, o co spokojnym zwykle i zadowolonym z siebie w tym buncie chodziło. Stara i wiecznie nowa historia: liberalowie tessyńscy wniesli opatrzone 10,099 podpisami podanie, żądające rewizyi statutu kantonalnego. Przypuszczając, że rząd ultramontański zapomocą kwestyonowania podpisów i innych sztuczek adwokaackich chce sprawę przewlec, założyli rekurs do Rady związkowej. Zanim ta wszakże zbadała ich skargę, rząd rozrucił po kantonie odpowiedź drukowaną, czem przeciwników jeszcze bardziej rozdrażnił. I oto dnia 11 b. m. w Bellinzonie gromada radykałów, poparta wkrótce przez tłum ludu, udała się do gmachu rządowego, wyłamała zamknięte drzwi i zaaresztowała radców, przyczem jeden z nich (Rossi) podobno przypadkiem został zabity. Strzelano bowiem przy tej operacyi rżęsiście. Mniej więcej to samo powtórzyło się w innych miejscach i zwycięzcy przy huku armat objęli rządy kantonu. Rada związkowa wysłała wojsko, uwolniła uwięzionych, zarządziła śledztwo, ale ponieważ niema ona ani właściwych praw, ani sił zwierzchniczych, więc koniec tego zatargu zależy od zachowania się ludności miejscowej.

Cesarz niemiecki znowu urządził sobie spotkanie z austriackim w Rohnstock na Szlązku. Z początku Niemcy te ciągle podróżę swego monarchy uważali za akty grzeczności względem sąsiadów; potem zaczęli im przypisywać cele doniosłe, obecnie już coraz niecierpliwiej oczekują skutków. Czy one nastąpią, tj. czy wycieczki Wilhel-

ma II mają jakiś plan polityczny — nie wiadomo. Przynajmniej w mowach swoich i toastach on takiego planu nie zdradza. Zwykle bowiem są one na obcym gruncie wymianą serdeczności za granicą, u siebie zaś pasmem wspomnień z przeszłości i ogólnikowo wyrażanych nadziei na przyszłość. Z Wiednia jedzie cesarz niemiecki do Włoch.

W Berlinie, Wiedniu, Belgradzie, Peszcie dyplomaci rozprawiają ciągle o świniach. Prusacy dopuścili austriackie, węgry zaś trzymają ciągle zamkniętą granicę przed serbskimi; a ponieważ zarówno zgoda pierwszych, jak waśń drugich dojrzewają w targach i sporach, przeto od pewnego czasu gazety ciągle brzmia wieprzową dyskusją. Jak wieść niesie, ministrowie węgierscy sprzyjałni się nieco z serbskimi przy rozsądzaniu skał u Żelaznych Wrót Dunaju, co obchodzono z obu stron bardzo uroczyscie. Więc może biedne świnie serbskie otrzymają paszporty do Austrii i przestaną kwiczeć — w dziennikach.

Dziwna wiadomość nadeszła z Zanzibaru do Europy: że konsul niemiecki przywrócił zniesione przez sultana tamtejszego prawo handlu niewolnikami. Brzmi to wprost potworną ironią, bo przecież Niemcy wszystkie swoje wyprawy i zabory w Afryce okrywali płaszczem cywilizatorów, mających tępić handel niewolnikami.

Francya babrze się dalej w błocie bulanzymu, rozrabianego coraz nowymi odkryciami. Najsmutniejszem w nich jest udowodnienie, jaki to mizerny kiep trząsł wielkiem państwem i omal niem nie zawładnął. Niechże te z naszych dzienników, które wskazywały nad jego czołem gwiazdę, nie czytają owych odkryć, bo doznają zbyt wielkiej boleści.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z AUSTRII.

14 września.

Powódź i polityka. — Widok Pragi zalanej wodą. — Most Króla Karola. — Postępy młodoczechów. — Wybory do sejmiku austriackiego. — Nowy statut miasta Wiednia i przedmieść.

Katastrofa, która nawiedziła Pragę i wielką część Czech, uśmierzyła na razie wojnę domową pomiędzy Niemcami i Czechami,

a wśród ostatnich pomiędzy starymi i młodymi. Wylew Mołdawy spowodował, że cała prasa austriacka z równem współczuciem zajmuje się losem mieszkańców Pragi. Zamiast zwykłych zjadliwych wycieczek i wywodów politycznych, łamy dzienników mieszczą obecnie długie sprawozdania o rozmiarach klęski i szczegółach pomocy ratunkowej. Bo też istotnie współczucie i obawę obudzić może okoliczność, że miasto cywilizowane, zaopatrzone we wszystkie środki ochronne inżynierii nowoczesnej, a nieleżące nad brzegiem morza, wskutek wylewu rzeki tak olbrzymią, może ponieść szkodę. Dzielnica Josephstadt, która zawsze najbardziej cierpiała od powodzi, niemal całkowicie jest zalana wodą. Musiano najać ludzi, którzy przenosili na plecach mieszkańców. W niektórych pokojach spać musiało po 10—15 osób. Nawet rozdzielanie żywności napotykało przeszkody, na niektórych ulicach mieszkańcy cierpieli głód. Co chwila widziano kosze spuszczone z okien, które pionierzy, utrzymujący komunikację czołami, napełniali wiktułami, o ile je mieli. Na ulicy teatralnej nie można było zgasić lamp gazowych; płonęły one przez dzień cały. Wielu ludzi zginęło w nurtach; lecz nie tak głęboko nie ugodziło w serce prażan, jak zawalenie się mostu Karola. Był to jeden z najwspanialszych pomników architektonicznych Pragi, obfitującej w starożytności budowlane. Historia wypisała swe znaki na potężnych kamieniach tego zabytku, legenda oplótła je siecią zabobonów ludowych, cały naród upatrywał w tym moście, łączącym Hradczyn ze starym miastem, symbol potęgi i odrębności narodowej. Kto widział jego olbrzymie sklepienie, wznoszące się o 7 metrów ponad powierzchnią wody, nie przypuszczał możliwości katastrofy. Daremnie też ręka ludzka usiłowała dokonać dzieła zburzenia, które dziś rozpasane żywioły spełniły. Podczas oblężenia szwedzkiego w r. 1648 mieszczanie próbowali rozbić jedno sklepienie mostu, aby odciąć nieprzyjacielowi przystęp. Podczas wojny siedmioletniej generał Harsz, również bezowocnie, usiłował rozstrzelić sklepienie, dla powstrzymania prusaków. Dziś zaś runęły trzy sklepienia tego mostu, którego budowę rozpoczęto w r. 1357. W sto lat po ukończeniu, wylew Mołdawy znacznie go uszkodził; następnie zaś dopiero w r. 1784 łódź rozbił jeden z filarów. Tablica umieszczona na wieżycy uwidoczniła, że cesarz Józef II zrestaurował wówczas pyszne dzieło mistrza Matyassa Arrasa. Lud przecho-

Mój Siostrzeniec.

Wspomnienie.

Jasne miał włoski nad czołem i śliczne chabrowe oczęta. Uśmiechał się do świata tak pieśczośliwie i wdzięcznie, że niepodobna było przejść mimo niego obojętnie.

Byłem jego ojcem chrzestnym. Bogatego, bezdzietnego stryjaszka zaszczyt taki nie mógł ominąć...

Pamiętam ten ciepły dzień wiosenny, kiedy otulonego zwojami białego muslinu malca wieźliśmy do gołomińskiego kościółka. Pamiętam tę ciemną zakrystę i księdza staruszka, i samego siebie wystraszonego tym płonącym ciężarem i zimną wodą, której mu nie szczędzono.

Usnął, nierozbudzony ani naszą głośnie, z głuchym proboszczem rozmową, ani długiem sadowieniem się do wiejskiej landary, gdzie znowu niepokoiły go swem muskaniem gałązki wierzy przydrożnej.

Jasne słońce świeciło wtedy tak radośnie, tak obiecująco... wiosna pachniała dokoła. Niedaleko Gzowa, gromadka dziewcząt, bawiących się nad rowem, rzuciła

w nas pękiem kwiatów „na szczęście“ — jak zawyrokowała gruba piastunka.

Zatknąłem mu owe złote jaskry za wiązanie poduszki i tak ustrojonego oddałem czekającej nas w ganku matce.

Gwarno było dnia tego w Gzowie. Gości sproszono z całej okolicy. Od zwyczaju święcenia chrzcin trudno się było wymówić. To też krewniak mój, choć niebogaty i przybyciem piątego już z rzędu potomka nieucieszony, musiał dać festyn, radować się i pić z innymi.

Mały bohater dnia zniknął wkrótce z widowni. Nad ranem dopiero, gdy zmęczony gwarem, napróżno szukałem spoczynku po wszystkich kątach mieszkania, znalazłem malca ukrytego w ciemnej alkwie, za perkalową firanką, tamującą, jakkolwiek możliwy tu dopływ światła i powietrza.

Ale chłopak nie zdawał sobie z tego sprawy. Drobne nożyny zdolał już rozkopać krępujące je poduszki, dwie małe piastki tulił do rozchylonych usteczek, oczyma gonił migotliwy płomień kopającej lampki naftowej i gaworzył coś do siebie, na wcale wesołą nutę.

Biedaczek, gdyby rozumiał, jak nieproszonym był gościem dla własnego ojca! Przed godziną właśnie prowadziliśmy długą, na niewesoły temat rozmowę. Od trzech lat wszystko mu się nie wiodło. Urodzaje nie dopisywały, było po raz drugi nawiedził

księgosusz, stodoły domagały się naprawy, a dzierzawę podwyższono jeszcze! Wyżył ze tu rodzinę, za starszego chłopca płacił szkoły, do młodszych trzymaj nauczyciela, a kiedy końca z końcem powiązać nie możesz, zjawia ci się nowy kłopot — nie wiedzieć po co. Jedna gęba więcej do żywienia, kiedy i dla tych, co są, nie starczy.

— Ot — kończył — łaska boska, komu niepotrzebna!.. Wam, coście bogaci i dzieci pragniecie, nie ześle ich niebo, taka to jest sprawiedliwość!

— A jednak, gdybym chciał zabrać Władysia, nie oddalibyście go na zawsze — wtrąciłem nieśmiało.

— A to dlaczego? — podchwycił — nie powtarzaj tylko dwa razy, bo cię za słowo przytrzymam!

— Ty, jak ty — przerwałem — ale matka...

— Matka — odpowiedział — i jak jeszcze! albo to ona mało się tem namartwiła przez całe dziewięć miesięcy? Czy i bez niego, z resztą, nie ma dosyć kłopotu? Gdybyż jej przynajmniej zdrowie dopisywało, ale przekłety reumatyzm żadnemu z nas nie przepuści. Wina to tej wilgotnej chałupy, co ją no moczarach sam diabeł chyba wystawił! Każdy doktor powtarza, że nikt z nas w niej zdrowym nie będzie, zaleca nowy dom pobudować... Daj bratku grosze, to

wuje podanie, że kamieniarze, którzy w XIV stuleciu most ten zbudowali, wapno i piasek zaprawiali winem i jajami. Piękne wieże gotyckie, zdobiące jego brzegi, należały do planu pierwotnego. Następne wieki ozdobiły most króla Karola szeregiem posągów, z których każdy niemal osobną ma historię. Najślawniejszy z nich zginął obecnie w falach wezbranych. Był to spiżowy posąg św. Jana Nepomucena, patrona czeskiego, wzniesiony w r. 1684. Płyta marmurowa, na niej krzyż, wskazywały miejsce, z którego siepacze królewscy wrzucili do Moldawy niezłomnego spowiednika. Lud przypisywał cudowną siłę temu posagowi i płycie. Corocznie 16 maja gromadziły się tu tysiące chorych; zwłaszcza chorzy na oty czy twierdzili, że wystarczy dotknąć się płyty a następnie oka, aby być uleczonym. Mitu tego niepodobna było wykorzystać; kiedy epidemia oczna przez nabożnych pielgrzymów wniesioną została do Pragi, kardynał Szwarzenberg daremnie występował przeciw wierze ludu.

Z pomiędzy posągów, które zginęły w nurtach, zasługuje jeszcze na wzmiankę grupa wyobrażająca Lojole w otoczeniu murzynów, Turków i Indian. Zwłaszcza otyły turek wpadał w oko każdemu przechodniowi.

Rzecz pewna, że Praga niedługo pozostawi most ten w tak smutnym stanie; ma on być zrestaurowanym tak, iż odzyska całkowicie dawną swą fizyognomię.

Sejm czeski, który pono w najbliższych tygodniach zwołany będzie, podejmie niezawodnie szeroką akcję ratunkową z uczestnictwem państwa. Charakterystycznym jest dla stosunków politycznych, że młodociesi zmonopolizowali na razie pomoc. Oni to utworzyli komitet ratunkowy, wysłali deputowanych do namiestnika i prezydenta ministrów. Starociesi odstąpili im miejsce naczelne bez walki; boć też wybory uzupełniające do sejmu, odbyte w dniach ostatnich, dowiodły, że starociesi całkowicie stracili grunt pod nogami.

Zacięte walki stacza obecnie stronnictwo liberalne z konserwatystami i antisemitami przy wyborach do sejmu dolno-austriackiego. Sejm ten powołany będzie do uchwalenia ustawy, określającej nową organizację Wiednia, połączonego z przedmieściami. Powiększenie to zrazu sama stolica i przedmieścia powitały chórem okrzyków radośnych. Zwolna jednak wyłania się zaczęła opozycja. Antisemici zwalczać zaczęli uchwałę, gdyż zawdzięczano ją inicjatywie większości liberalnej; a kiedy zgromadzenia

przedmiejskich rad gminnych okazały, że przyszła rada miejska składać się będzie w znacznej większości z żywiołów liberalnych, antisemici rozpoczęli walkę systematyczną, mającą na celu zniesienie projektu nowej organizacji, lub co najmniej spacenie całej sprawy. Czując, że w Wiedniu i w przedmieściach ich robota nie może liczyć na powodzenie, użyli nadarżającej się obecnie sposobności i roznoszą agitację przeciw liberałom, żydom i powiększeniu Wiednia po kraju. Rezultat wyborów, od którego po większej części zależy ostateczne przeprowadzenie i uregulowanie nowej organizacji Wiednia, jeszcze nie jest znany. Tymczasem komisya, powołana przez namiestnika, pracowała pilnie i wykończyła projekt statutu dla Wiednia, połączonego z przedmieściami. Projekt ten, który narażenie przedstawia tylko materiał dla organów rządowych, daje pogląd na przyszłą administrację stolicy. Komisya starała się obok zmian, wynikających z samego faktu powiększenia gminy, przekształcić dotychczasowy jej statut w kierunku wskazanym przez doświadczenia czterdziestoletnie. Lecz są to reformy połowiczne i nie odnoszą się do podstaw całego ustroju administracyjnego. System ciał wyborczych pozostaje niezmiennym; liczbę radnych gminnych, mimo znacznego wzrostu liczby mieszkańców, powiększono tylko o dziewięciu członków. Kompetencya rady gminnej i magistratu pozostaje prawie nietkniętą, mimo wsunięcia nowego, trzeciego ciała, rady miejskiej. Cała administracja będzie i nadal całkowicie biurokratyczną, prowadzić ją będą urzędnicy płatni. Nie istnieje zamiar wprowadzenia systemu urzędów honorowych, praktykowanego w Prusach z powodzeniem zarówno dla finansów miejskich, jak dla rozwoju dojrzałości politycznej obywateli.

Bądź co bądź jednak, obraz przyszłej administracji stolicy naddunajskiej jest wciąż imponującym. Po wysunięciu dziśjszych linii akcyjowych, gmina wiedeńska obejmować będzie półtora miliona mieszkańców.

S.

BADANIA NAUKOWE.

HOME-STEADY W NIEMCZECH.

Kwestya społeczna na Zachodzie Europy przybiera w swoim rozwoju szczególną

a charakterystyczną postać. Nie znaczy to bynajmniej, aby jakieś nowe i zupełnie dotychczas nieznane pierwiastki ukazały się w życiu społecznym, lecz przedewszystkiem to, że słabe dawniej wzmogły się silnie i wystąpiły z większą niż kiedykolwiek świadomością. Ponieważ z wszelkimi prawdopodobieństwem wolno mniemać, że przyszłość przyniesie z sobą dalszy rozwój w tym kierunku, uwzględnimy niektóre dzisiaj ukazujące się, a już wyraźne zapowiedzi. Chodzi mianowicie o wzrastającą walkę pomiędzy prądami społeczno-rozwojowymi i społeczno-zachowawczymi. Z jednej strony podnosi się silna a namiętą krytyka, rozporządzająca wszystkimi danymi niepofalshowanej nauki społecznej i uznana nawet przez najzaciętszych przeciwników, nie tylko analizująca każdy objaw tegoczesności, lecz jednocześnie poddająca surowej chłostce wszystkie projekty, plany i eksperymenty, jakkolwiek złudnymi i demokratycznymi byłyby ich pozory i zawartość, lecz które są istotnie obracaniem się w zaczarowanym kółku tych samych stanów i pośredników. Z drugiej strony potężniejszy inny prąd, który staje w obronie historycznych wzorów niedalekiej przeszłości i bieżącej terażniejszości, a jednocześnie korzystając z owej krytyki, usiłuje wszelkimi siłami przeprowadzić pewne reformy, które powstrzymałyby rozkładowe dążności chwili obecnej i oparły społeczność na stateczno-zachowawczej podstawie. To korzystanie z wywodów przeciwnika dla ukucia broni przeciwko niemu jest faktem wysoce charakterystycznym, a zarazem jaskrawym dowodem głębokości wyłoniętej analizy społecznej.

Naturalnie, walka ta nie ogranicza się do sporów na papierze, lecz, jak to dzieje się zawsze w krajach rozwiniętych politycznie, ucieleśnia się na arenie politycznej w formie odpowiednich partij. Charakter tych wystąpień jest mocno klasowy. Jako odłam krytyczny występują wielko-przemysłowe grupy pracujące. Pozostając w szczególnych warunkach życiowych, które wyrabiają w ich umysłach odpowiednie idee, organizując się pod naciskiem samych stosunków ekonomicznych stwarzanych przez siłę społeczną, w całym słowa znaczeniu tegoczesną, zjawiają się one na widowni jako potęga czynna, ruchliwa, postępową, która pragnie nadać reformom kierunek zgodny z swym klasowym interesem, a jednocześnie liczący się z powołanymi przez wielki przemysł do życia pierwiastkami. Idzie jej

ci i pałacem zaświecił. Oj, wiesz co, dobrze byś uczynił, zabierając chłopaka. Wyba-wiłbyś od reumatyzmu jedno ciało! — zaśmiał się w końcu.

Zywo dzwieżały mi w myśli te słowa, gdy pochyłony nad kołyską przyglądał się snem zaróżowionej twarzyczce malca.

Nie miałem dzieci, a tak gorąco ich pragnąłem. Ten miły buziak pociągał ku sobie mimowoli. Czemu nie urodził się on moim synem — myślałem. Byłoby mu tak dobrze, tak przytulnie wśród naszych pieszczot i uśmiechów!..

I nagle, myśl przelotna dotąd, uparcie czepiła się mego mózgu.

Zawsze marzyliśmy z żoną o wyszukaniu na świecie jakiegoś miłego dzieciaka i wzięcia go za syna. Gdybym tak zabrał Władysia? Ci znajomi rodzice i ten mimowolny sprawca ich nowych kłopotów, biedny, niewinny dzieciak, tak odpowiadał moim planom... Zapelnilby mi życie, odrodziłby mnie na nowo, odpędzając widmo samotnej starości, które coraz częściej sprowadza mi noce bezsenne.

Wprawdzie żona moja odkładała projekt ten na później... zbyt jeszcze była młodą, aby chcieć sobie tak zaraz narzucić ciężar dobrowolnego macierzyństwa. Zdawało mi się jednak, że opowiedziawszy rzecz całą, nakłonię ją bez trudu.

Całą drogę do Warszawy przemarzyłem. Myśl posiadania Władka uśmiechała mi się coraz więcej.

Żona powitała mnie zwykłą swoją żywą serdecznością i gradem zapytań. Zbysławem je lekko, chcąc od razu wejść na mój temat. Wypowiedziałem go jednym tchem. Ohmura przeszła po jej czole.

— Co za myśl — rzekła. Takie tam u nich wszystkie dzieci brzydkie; już jeśli wziąć, to co ładnego; ja bym się inaczej przywiązać nie mogła!..

Odpowiedziałem jej, że Władeczek jest śliczny, że do innych wcale niepodobny, użyłem całej mojej wymowy, aby ją wzruszyć smutną dolą nieupragnionego dziecka; nie nie pomogło!..

— Za nic w świecie, ani myślę! — wołała rozdrażniona. Jeśli kiedykolwiek jakie dziecko wezmę, to chłopskie, nędzne, opuszczone — dla idei! Ten twój Władek, mimo wszystko, nie zginie na świecie!

Umilkłem, zwarzony i smutny. Było mi przykro pożegnać się z pieszczonym przez chwil kilka planem, ale gdy spojrział w uśmiechnięte na zgodę oczy, gdy ucałowałem śliczne, pełne usta — zapomniałem o Władku.

Bez wieści o nim przeszło mi pół roku. Jesienią, „zapalonego“ myśliwego wezwał brat na jakieś polowanko. Przez trzy dni

od rana do zmroku uganiał się po polach za szarakami. Wieczorem jeździło się na umówione „partyjki“ w sąsiedztwo. Czwartego dnia, gdy miał już siadać na bryczkę, napotkałem małą, dwunastoletnią, może piastunkę, z Władysiem na ręku. Duży to już był teraz chłopczyca, o bladawej cerze, ale ślicznych, do nieznanego nawet stryjaszka uśmiechniętych oczkach.

Dawniejsze pragnienia znowu obudziły się we mnie. Porwałem go z ręki „niani“, zabawiając cykaniem zegarka, świecącym brelokiem, huśtaniem, gawędą... i byłbym tak zapomnieli o godzinie odjazdu, gdyby mnie krewniak mój, wzięwszy malca, gwałtem prawie nie odcignął.

Tym razem nie za powrotem nie wspominałem żonie. Niechaj pozna — myślałem — a sama się o niego u mnie dopomni.

W tydzień powiozłem ją do Gzowa, na imieniny bratowej. Władys przystrojony w nowy jakiś czepeczek, z różowymi wstążkami, wyglądał bardzo powabnie. Od razu też serce stryjenki pozyskał.

— Doprawdy, miałeś słusność — powtarzała mi kilkakrotnie — śliczna dzieci- na i taka miła! uśmiecha się już do mnie, jakby mnie znała!..

I trzymała go na kolanach, karmiąc mlekiem, które mu umiejętnie wlewała do buzi, brzęcząc grzechotką, całując i pieszcząc bez końca.

o zdemokratyzowanie sił i stosunków ekonomicznych, zrodzonych przez nowoczesny postęp techniczny. Ta partya polityczna, klasowo-najmicka, musi objąć szersze widnokręgi, niż swojej sfery, już dla tego samego, że w swej działalności wyłania plan oparcia całego społeczeństwa na zdemokratyzowanych wzorach gospodarczych, wytwarzanych przez nowoczesne metody produkcji. Lecz wielki przemysł tylko w krajach wyjątkowych zagarnął większość członków społeczeństwa; gdzieindziej istnieją nadzwyczaj liczne grupy drobniemi-szozańskie: rzemiosło, a przedewszystkiem włościanstwo, z którymi naturalnie owa partya polityczna musi liczyć się, jeśli nie dzisiaj, to wkrótce. Grupy wiejskie, opasane przez kler i systematycznie przezeń wyzyskiwane pod względem umysłowym i moralnym, rozproszone w drobnych gromadach na wielkiej przestrzeni, a w takich gromadach rozdrobnione warunkami techniczno-ekonomicznymi na niezależne od siebie i swarzące się osady, pogrążone w nędzy i ciemnocie, są wprost niezdolne do samodzielnej akcji politycznej. *) A jeśli ją podejmują, to występują z szczególnymi mocno zacofanymi dążnościami, które czynią z nich podporę wszelkiego wstępnictwa społecznego. Właściwe im podścielisko rzeczzone stwarza szczególne pragnienia ekonomiczne, obracające się około własnej obórki i własnego zagonu z idącą w parze wieczną ciemnotą i nędzą parcelową w 3 — 4 pokoleniu, — wprost przeciwne dążeniom najmitów wielkoprzemysłowych. Otóż przed tymi ostatnimi staje konieczność szczególnej polityki, któraby zjednała, jeśli można, odłamy wiejskiego drobno-indywidualizmu, a jednocześnie uniemożliwiała urzeczywistnienie owych pragnień. Środkiem ku temu bywa przedewszystkiem zmniejszenie ciężarów państwowych, rozwiązanie wojsk w milicję gminne, reformy fiskalne. Zresztą chodzi o zjednanie tylko małorolnych, bezrolni, z samego swego położenia pokrewni najmitom miejskim, łatwo przyswajają ich hasła. Cluseret wniósł niegdyś projekt, aby każdy najmita i małorolny francuski, który dojdzie do pewnego wieku, kiedy siły poczynają niedopisywać, otrzymywał stałą pensję od gminy — jest to wzór, według którego zwykle są ukształtowane tego rodzaju środki zyskania sympatii na wsi.

*) Mówimy tu naturalnie o krajach rozwinętych kapitalistycznie.

Gdyśmy jednak zostali sami, a ja ponowilem moją propozycję, znowu była niezadowolona.

— Dajże pokój! Jesteśmy jeszcze za młodzi, aby się już wyrzec świata i wszystkich przyjemności. A ja — tak tylko obowiązki rodziców pojmuję. Gdybym miała dziecko, miałabym cel życia, a więc porzuciłabym wszystkie inne, oddałabym mu spokój moich dni i nocy. Chcesz, wezmę Władysia, bo i mnie samej on się bardzo podoba, ale poczekaj, niechże przedtem jeszcze świata trochę użyję.

Zamilkłem, uciuszony już i tą na przyszłość obietnicą. I odtąd długo nie wspominałem o Władku. Sam tylko coraz częściej do Gzowa jeździłem, witany za każdym razem serdeczniej. Snać myśl wyrażona na chrzcinach nie opuszczała dotąd krwiaka. Nie dotykał mi jej wprawdzie, ale z całego zachowania się mego względem malca mógł pomyśleć dla siebie wyciągać wnioski. Chłopiec nawet poznawał mnie już teraz. Nikt bo się nim tak nie zajmował, nikt tak długo nie gawędził, ani tak chętnie słuchał, jak stryjasek.

Ciężka choroba rozdzieliła mnie z nim na długo. Zmuszony szukać pod obcym niebem wzmocnienia sił nadwątlonych, wyjechałem z kraju na rok cały. Myśl o dziecku nie opuszczała mnie jednakże. Otwarcie już teraz snulem przed żoną obrazy tej pożądaney

Przyznając w drobnej własności siłę wstępną, rozpatrywana partya polityczna nie tylko że nie broni tej instytucji, ale popiera wszelkie prawa i prądy, pohajające ją do zniknu, podając jednocześnie sposoby uniknięcia nędzy dla wywłaszczonych. Są to: prawo do pracy każdego obywatela, ogłoszonego ze środków do życia, emerytura państwowa dla każdego pracującego, obowiązkowe leczenie i utrzymanie podczas choroby, zabezpieczenie w wypadku nieszczęścia, Prawo do pracy ma być stosowane między innymi na folwarku, urządzonym z gruntów państwowych i prowadzonym na odpowiednio wielką skalę według jednolitego planu. Państwo, występując jako wielki a tani, dzięki centralizacji i ulepszeniom, producent zboża i bydła i posiadając zapewniony rynek zbytu, mogłoby przejść do systematycznego a pokojowego — jak to dzisiaj się odbywa, wywłaszczania chłopstwa z drobnej osady, zwalczając je wprost jako współzawodnik rynkowy, a jednocześnie występując jako jedyny wierzyciel hipoteczny i wcielając wywłaszczonych do folwarku państwowego. Wreszcie partya najmicka broni kulturalnych interesów chłopstwa — nawet wbrew woli tego ostatniego, w takich razach, jak oddzielenie kościoła od państwa, nadanie szkole charakteru świeckiego itp. Te ostatnie fakty wraz z dążeniem do owego wspomnianego wywłaszczania, z wstrętem do pragnień czysto chłopomańskich, oraz z zapatrywaniem, w jakich warunkach państwo podejmie się wyznaczanej mu roli, dowodzą jasno, że w gruncie rzeczy grupy najmickie myślą tutaj o przejściowej dyktaturze klasowej nad włościanstwem i że im chodzi jedynie o zyskanie zaufania u tych ostatnich. Na tem istotnie polega cała polityka „stanu czwartego“ względem obcych mu dążnościami grup ludowych.

Zatrzymaliśmy się nad tą sprawą pobieżnie, naszkicowawszy tylko ogólne dążności. Uczyniliśmy to w celu, aby czytelnik mógł ocenić tem słuszniej te dążenia i próby, które spostrzedz może w życiu publicznym Austrii i Niemiec. Przedstawialiśmy zapatrywanie, które widzi w drobnej osadzie podporę zachowawczości społeczno-ekonomicznej. Nienależy mniemać, iż ów pogląd jest jakimś wyjątkowym. Weźmy świeże prace dwóch urzędowych ekonomistów niemieckich, Miaskowskiego i Conrad, a spotkamy się z temsamem zdaniem. Pierwszy, specjalista w kwestyi rolnej i jeden z tych filarów niemieckiej

ekonomii urzędowej, których wskazówkami kierują się władze najwyższe, wprost mówi z powodu dążeń rządu angielskiego, „Rozwiązanie kwestyi polega na tem, aby bez wstrząśnięć skutecznie to przejście własności z jednych rąk do drugich. Rzecz to najważniejsza, aby pewna część ludności rolnej stała się posiadaczką ziemi, a jednocześnie, aby nie sformułowano podobnych wymagań w innych dziedzinach ekonomicznych. A jest to trudnem w chwili obecnej, kiedy istniejące prawo wraz z ideą własności słabo trzymają się w sumieniu pewnej części ludzi i gdzie niema wyższej instancyi, panującej nad walką klasową... Taka własność stałaby się podwaliną porządku.“ Conrad wypowiada się jaśniej i bardziej stanowczo. „Stan włościański był zawsze najbardziej zachowawczym żywiołem w państwie, który uporczywie trzyma się tradycji i walczy za nią z największą energią. Poczucie własności, miłość miejsca rodzinnego czynią zeń naturalnego wroga dla wszystkich miejskich idei rewolucyjnych i najsilniejszą tamę przeciw dążeniom społeczno-demokratycznym. Z zupełną słusnością nazwano go najtrwalszą podporą zdrowego ustroju państwowego, znaczenie zaś tego stanu potężnieje coraz bardziej z wrastaniem miast wielkich.“ Przytoczyliśmy dwa suche ustępy książkowe; ktoś mógłby je położyć na karb teoretyzujących profesorów, gdyby nie to, że takim jest zdanie, zaczerpnięte z długiej praktyki politycznej, wszystkich partij i działaczy społeczno-zachowawczych, którzy dobrze uświadamiają sobie, że powyższe naszkicowane plany tegoczesnej demokracji najmickiej, dzięki samym warunkom topograficznemu rozmieszczenia ludności, nie wydrą się po za mury miejskie, a przynajmniej rozpostrą się nielicznie, póki ona sama nie zawładnie sterem rządu. Dość wziąć jakiś *Vaterland*, jakąś *Reforme sociale*, aby spotkać się na każdym kroku z takim zapatrywaniem. Z powodu wiosennych projektów Wilhelma II w sejmie pruskim, mianowicie stworzenia drobnych czynszowników na gruntach państwowych niemieckich, to ostatnie czasopismo wystąpiło z artykułem, będącym jedynie przeróbką poglądów, które poznaliśmy u Conrada, a ogłaszającym młodego cesarza za upragnionego Mojżesza zachowawców społecznych. Wreszcie, najjaśniej wypowiedziano takie same stanowisko w reformach rolnych, projektowanych w Austrii i Niemczech. Między innymi *Reforme sociale* za-

przyszłości — we troje. Ona nie chciała wyrzec jeszcze stanowczej obietnicy, przyrzekłem nawet, że na jej własną, niewymuszoną zgodę zaczekam, energiczne jednak skupywanie książek pedagogiczno-hygienicznych kazało mi oczekiwać niedalekiego przyzwolenia.

Wróciłem do kraju pełen najlepszych nadziei i, nie odpoczywając prawie, wybrałem się do Gzowa.

Szybko załatwiwszy się z powitalnymi zapytaniami rodziców, zwróciłem rozmowę na dziecko.

— Zdrow jak ryba — odpowiedziano mi z uśmiechem — bawi się w ogrodzie, nie zapomniał stryjasek, bośmy mu często pokazywali twoją fotografię: nazywa cię „stłyjaskiem z Walsawy...“

Wyszedłem go szukać. Przed gankiem siedział na piasku, przesypując go rączkami do jakiejś zardzewiałej blaszanej zabawki. Innego oczekiwałem wrażenia. Władysław był w istocie, ale tą chorobliwą tłustością skrofulicznego dziecka; rumieńce lekko tylko różowiły mu buzię, a co najgorsza — główkę miał jakąś dużą, czego u niego dawniej nie spostrzegałem. Gdy zaś kazano mu przywitać stryjasek, podniósł się z trudnością i zauważyłem, że nóżki, za krótkie do całego korpusu, stawia krzywo jakos i chwiejnie.

— Ależ co jemu jest! — zawołałem, nie mogąc wobec matki ukryć przykrego wrażenia. Co jemu jest? Czy wzywałeś lekarza?

— Et, co tam za choroba, — odpowiedział — do wesela nie zostanie ni znaku! Manio i Janek przechodzili toż samo, a patrz jak dziś wywijają!

Zajęta drobnymi sprawami domowymi i skłopotana losem swoich oddalonych dzieciaków nie miała kiedy przejmować się chorobą najmłodszego, zdając więc wszystko na wolę boską, powtarzała swoje ulubione „jakoś to będzie!..“

Mnie jednak trudno się było z tą niespodzianą rzeczywistością oswoić. Tegoż wieczora, przywożłem z sąsiedniego miasteczka, lekarza, kolegę, — domagając się stanowczego orzeczenia.

— Oóż chcesz — powiedział spojrzawszy na dziecko — wielka głowa, nóżki łukowato skrzywione, niekształtność w budowie klatki piersiowej, to *rachitis*, nieodwołalnie. Poprawieniem warunków higienicznych najlepiej leczyć się daje. Ale cóż, wobec niemożności opuszczenia tej wilgotnej dziury... — Chciał mówić coś jeszcze, ale go razem ze mną pociągnięto do przygotowanego tymczasem preferansu...

Jakże mi się grać nie chciało! Myśli zajął mi jedynie ten biedny, chory, dzieciak. Z jaką ochotą uniósłbym go z sobą zaraz,

mieszcila w danej kwestyi artykuł p. Pobiedonoscewa, odznaczający się równie głębokim zrozumieniem warunków zachowawczości społecznej, a traktujący o *home-steadach*. Wszędzie widnieje pojęcie, że widnokręgi społeczne, stwarzane przez drobną osadę, jeśli tylko ona zapewnia pewien dobrobyt materialny swoim mieszkańcom wraz z dostateczną nadzieją ustalonego jutra, a powściąga ruchliwość i wszelką wymianę, sprzyjają jaknajmocniej wszystkim wymaganiom konserwatywnym. W projektowane reformy, o ile są jeszcze dalekie od rzeczywistnienia, nie będziemy teraz zapuszczać się, zauważając jedynie, że działalność w danym kierunku, teoretyczna i praktyczna, jest rozwijana silnie w Niemczech i Austrii, we Francyi i Włoszech, z całą systematycznością i świadomością celu. Idzie tutaj o powstrzymanie rozwoju kapitalizmu z jego dziecięciami, rozkładowym społecznodemokratyzmem, o stworzenie Wandei przekonani i Wandei własności, o którą rozbiłyby się wszelkie miotania, zrodzone na gruncie wielkich miast i wielkiego przemysłu, o wywołanie krucjaty wiejskiej przeciw miastom, która „pozostawilaby przyszłym wiekom zagadkę odszukiwania, gdzie wznosiło się kiedyś jakieś miasto.“ W Tyrolu krąży wprost broszurki z taką treścią...

Zatrzymamy się bliżej jedynie nad zamianami Wilhelma II, gdyż są najbliższe rzeczywistnienia. Cokolwiekby można było o nim powiedzieć, trzeba przyznać, że należy on już dzisiaj do najwybitniejszych działaczy zachowawczych, t. j. głęboko rozumiejących, dokąd dąży tegoczesny rozwój społeczny i za pomocą jakich środków można go powstrzymać. Zresztą same idee jego są stare, jak świat; są to sławne *idées napoléoniennes*, z którymi kiedyś wystąpił Napoleon III, zabierający się do zamachu. Silny rząd po nad klasami, kokietujący najmitów miejskich i trzymający na obroży zwioly wiejskie, aby je wypuścić na miasto, taką jest treść owych idei. Podobną też jest zawartość idei Wilhelmskich, z tą wszakże różnicą, że zamiast *souteneura* który owładnął sterem państwowym, aby tutaj wprowadzić wszystkie zwyczaje i umizgi kokotki, mamy doczynienia z człowiekiem, który oddycha wsteczną, lecz w każdym razie całą siłą moralną, jeszcze nie zwyrodniałego junkierstwa, do rzeczy bierze się z dobrą wiarą, wysuwając zamiast przekupstwa uczciwość feodálną i zamiast rzezimieszków i bankrutów — postacie zachowawcze, lecz nieugięte i nie skalane tymi brudami, z któ-

rych wyleźli Morny i Persigny. Zresztą doradcami jego są rozumiejący się na rzeczy profesorowie, a celem nie kokietowanie, lecz oparcie reform na stałym gruncie. Naturalnie, znaczenie dziejowe samych idei na tem nie wiele zyskuje, prócz jednego, że będą one nie tylko gołosłownym frazesem, lecz przejdą w życie. Sławne dekrety były próbą złamania wśród robotników prądów rewrotowych. Lecz o ile można sądzić, główne starania młodego cesarza są skierowane do utrwalenia stanu włóściańskiego. W mowie swej w Królewcu jasno zaznaczył to stanowisko. „Niestety, można zaznaczyć pewne prądy, które usiłują zmniejszyć znaczenie przypisywane rolnictwu i ludności wiejskiej. Lecz z przyjemnością muszę zaznaczyć przełom w tym kierunku... Silna organizacja chłopstwa zasługuje na szczerze zajęcie się nią. Uczynię to z gorącym sercem. Cierpliwości tylko!“ Zresztą, za zgodą cesarza przed feryami parlamentu w sejmie kilku wielkich właścicieli ziemskich, w tej liczbie Moltke, wniosło projekt zaprowadzenia w całych Niemczech pewnej ustawy, przypominającej *Home-steady* amerykańskie. Oto jego zarys.

Każda osoba w wieku przynajmniej 24 lat a będąca poddanym niemieckim ma prawo do zapisania swojego kawałka ziemi z chatą jako *Heimstätte*, t. j. jako majątek, nieulegający wywłaszczeniu drogą prawną za długi. Wielkość tego *Heimstätte* nie może przekraczać rozmiarów zwykłej osady włóściańskiej w danej okolicy, i stosownie do zwyczajów miejscowości jest różna w odmiennych prowincjach. W każdym jednak razie winna być o tyle znaczna, aby wytwarzać wszystko, czego wymaga utrzymanie pojedynczej rodziny i posiadać, co potrzeba do rocznej produkcji. W chwili zapisywania *Heimstätte* nie może być obciążona długami wyżej połowy swej dochodowej wartości, dług zaś uiszczany ratami rocznymi. Zapisana *Heimstätte* nie może być obdłużona powyżej trzeciej części wartości i to tylko w przypadkach nieurodzaju, spłaty spadkobiercom i niezbędnych ulepszeń; dług będzie spłacany przez lat 15. *Heimstätte* można sprzedać przez egzekucję tylko za dług, który zaciągnięto jeszcze przed zapisaniem i tylko podczas 3 pierwszych lat; nie wolno jej dzielić, cała i niepodzielna przechodzi w ręce jednego spadkobiercy. Nikt nie może w swem ręku połączyć kilku takich osad.

Projekt ten zresztą jest tylko wstępem do dalszych prawdopodobnie reform i projektów. Przerzucając literaturę bieżącą

w kierunku społeczno-zachowawczym, widzimy rozwijające się plany. Minoraty chłopskie, niesprzedawane za długi i z ograniczonem prawem wychodzenia z rąk rodziny, a obdłużone do pewnego tylko stopnia, zesplątą ratami, rozsądzenie rolnego proletariatu jako czynszowników drobnych na ziemiach państwowych dla przeciwwagi skupieniom ludności miejskiej, powstrzymywanie rozwoju miast, ograniczanie praw przesiedlania i przenoszenia z miejsca na miejsce, słowem, stworzenie osad naturalnych, opartych na pewnym dobrobycie materialnym, lecz przez samą swoją naturę ekonomiczną bronionych od napływu idei wolnomyślnych — tak przedstawia się całokształt dążeń.

Można śmiało powiedzieć, że drobna osada włóściańska stała się lub raczej staje główną areną tegoczesnej strategiki społecznej. Z tego powodu czytelnik przebaczy nam liczne odchylenia w toku artykułu, wyjaśniające sprawy. Zresztą znaczenie tego urządzenia pojmują jedynie krańcowe: zachowawcze i rozwojowe prądy społeczne. Liberalizm i drobnomieszczaństwo dotychczas nie zdało sobie sprawy. Pierwsze zupełnie straciło głowę, drugiemu zaś brak zrozumienia rzeczy, nawet jeśli w ideałach przybiera zabarwienie właściwe demokratyzmowi, zrodzonym na gruncie wielkiego przemysłu. Drobnomieszczański demokratyzm, wychowany w doktrynerstwie tradycyjnym Żyrodystów, nie może pojąć, że dzisiejsza centralizacja polityczna jest nieodłącznym środkiem walki, że dyktatura jest jedynie możliwą postawą, co przewybornie rozumieją zachowawcy, stwarzając ideę silnego rządu. W walce przeciwko armatom chciałby wychodzić z starodawną halabardą, powiewając „jednolitym ludem“ jako chorągwią, a zasadę swej działalności streszczając w słowach: „jeśli ktoś jest swinią, jakie mam prawo tego nie pozwalać?“ Podobnie nie może on zrozumieć dziejowej roli drobnej osady i nawet przykrywając się hasłami najmickimi, walczy tylko za *idées napoléoniennes* w najnowszym ich przyodziewku.

K. R. Żywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

APOTEOZA CZY SATYRA?

Marya Szeliga, *Na przebój*, Kraków, 1889.

W powieści, której tytuł powyżej zaznaczyliśmy, pani Szeliga, nadzwyczaj niefor-

bez chwili namysłu, do swego suchego, wygodnego mieszkania, pomiędzy lekarzy i najtkliwszą opiekę!

A jednak — przyrzekłem żonie że jej go nie narzucę, — a tak cenilem spokój domowy!..

Poprzestałem więc na częstszym odwiedzaniu Gzowa, na zwożeniu potrzebnych dla dziecka lekarstw, zajmujących zabawek. Godziny całe spędzając z nim nieraz w ogrodzie, okłamywałem samego siebie kładąc mu prosto stawiać owe nieszczęśliwe nóżki, i przywiązywałem się coraz więcej.

A i on, już się kochać nauczył swego „stryjaszka z Warszawy.“ Jakże się cieszył moim każdym przyjazdem, jak silnie drobne te, małe rączki nachylały mnie ku wyciągniętej do pocałunku buzi, jak czule obejmowały mnie za szyję, ściskając „mocno, mocno, z całych sił!..“

Wobec mej prośby i uśmiechu nie było złego lekarstwa ani przykrych kapieli, bo Władyszy stryjaszkowi niczego nie odmówił. Gdy wspomnę, jak instynktowo przywiązał się do mnie i jak serdecznie go pokochałem, niepodobnem wydaje mi się, żeśmy byli z sobą tak krótko!..

Pół roku przeszło bez zmiany.

Nie pomnę dnia, w którym niespodziewanie przybywszy do Gzowa, zastałem Władysia w gorączce. Wszyscy już teraz

otaczali jego łóżeczko. Wszyscy byli na jego usługi. Ale on już nie gawędził ani pytał się o nic. Rączki ułożył pod główkę, pod tę dużą, nieproporcjonalną główkę skrofalicznego dziecka i wdychał ciężko od czasu do czasu. Nigdy nie zapomnę tych jego westchnień przycisnionych, a tak bolesnych. Rwało mi się serce z bólu. Ta mała, niewinna istota, jakim prawem cierpiała tyle?..

— Władeczku, stryjaszek przyjechał, stryjaszek z Warszawy — zagadnęła go płacząca matka.

— Nie, nie, — odpowiedział machinalnie, nie chcąc spojrzeć w moją stronę. Po chwili wreszcie, nie podnosząc przymrużonych powiek: „pocałuj stryjaszku,“ wyszeptał. A gdy spełniłem czego żądał: „pocałuj jeszcze raz“ powtórzył.

I zamknął półotwarte na chwilę oczęta, których nie oglądałem już więcej. Popadł odtąd w jakiś ten ciężki, zwykły poń obaw zapalenia mózgu na które go leczono. Zimne, lodowe okłady nie przynosiły już ulgi. Gorączka się wzmogła.

Nad ranem — trzymając wychudłą rączkę, poczułem uciekające z niej życie i zapłakałem głośno nad wszystkimi moimi marzeniami. Gdybym go był zabrał do siebie! Troskliwa opieka powołałaby go z pewnością do zdrowia, przed tą zabójczą cho-

robą, a nim dała syna którego już teraz jak własnego kochałem.

Miałbym dla kogo żyć, dla kogo pracować, komu przekazać moje mienie i ideały.

To stygnące ciało było mi wyrzutem słabości wobec pozyskanie szczęścia za którym goniłem.

Długo siedziałem przy nim, wśród łkań matki i piastunki.

Z pogrzebu uciekłem. Nie mógłbym patrzeć na oddanie ziemi tego, com zdążył tak ukochać... niedołącznie...

* * *

Zgnębiony powróciłem do domu. Na wstępie rzuciła mi się na szyję żona i nie dając dojść do słowa: „No a gdzie Władyszy?“ — wołała. Jestem pewna żeś go już tym razem zabrał z sobą! Nie? — jaka szkoda. Oczekiwałam tej niespodzianki. Śniły mi się dziś takie piękne dzieci... Gdybyś mi był go gwałtem narzucił, już bym się z nim nie rozstała. Że też ty się nigdy na energię nie zdobydziesz!..

W. S.

tunna obrończyni praw płci pięknej, stara się dać apoteozę wyższego wykształcenia dziewcząt, w rzeczywistości zaś daje nam satyrę, która wywołała protest i oburzenie ze strony bardziej myślących studentek. Dwudziestoosmioletnia Natalia Durmuntówna, której brak posagu nie pozwolił znaleźć szczęścia „ogniska domowego,” bezmyślna, mająca głowę wypchaną romansidłami, sarkająca na twardość serc męskiej połowy rodu ludzkiego, udaje się do lasu na przechadzkę, w nadziei pewnie, iż przypadek podsunie jej zamożnego młodzieńca. W lesie spozstrzegła jasno-zieloną blaszankę, a wkrótce i właścicielkę jej, Estere Weissblatt, studentkę szkoły medycznej w Paryżu. Wszczynia się rozmowa, z której oprócz wielu innych rzeczy dowiadujemy się, iż zagranicą narzeczonego z łatwością znaleźć można. Ona sama już upolowała sobie aż „internata.” Przed Natalką „nowe, świetlane jakieś blaski” po tej rozmowie się ukazują.

Sprawia to wrażenie, jakoby pociągnięta przykładem praktycznej Estery postanowiła także udać się do tej nowożytnej Arkady w pogoni za młodzieńcem o szlachetnej duszy i suto wypchanej kieszeni. Wprawdzie p. Szeliga stara się nas upewnić, że Durmuntówna kierowała w danym razie żądza nauki i poświęcenia dla cierpień bliźniego, ale trudno przypuścić, aby namiętność do nauki mogła się naraz rozdzielić w duszy osóbkę, która w żaden sposób nie może pojąć znaczenia jasno-zielonej blaszanki, zawieszanej u boku Estery, a chęć pracy i poświęcenia — w duszy istoty, wychowanej w szkole egoizmu, zimnej i niewidzącej w życiu nic, prócz upragnionego celu: męża, męża, męża! Utwierdza nas w tem przekonaniu i ta okoliczność, iż, w kilka dni po rozmowie z Esterą, będąc na *polowaniu* u sąsiada Ottona, zapędów swych matrymonialnych bynajmniej nie porzuciła, a nawet przychylnem uszkiem chwyciła wyznawanie wiejskich Don-Juanów; przekonała się tylko ostatecznie, iż męża w żaden sposób *upolować* nie można. Następnego więc dnia, spotkawszy ponownie Estere, odzywa się do niej namiętnie:

„Och, panno Estero, ratuj mnie, ratuj! Natchnij mnie wiarą, iż mogę się jeszcze na coś przydać na świecie, bo inaczej ciężka moja dola!” Estera uspakaja ją kilku komunalami, wśród których znowu znajdujemy zapewnienie, iż „niemal każda ze studentek jest narzeczoną wprzód, nim otrzyma dyplom doktorski... i najczęściej z kolegą lub „internem” swego oddziału.” Na co Dormuntówna ze skromnością, właściwą pannom dobrze wychowanym, odpowiada, iż „gdyby dosięgła tak szczytnego celu, żeby zostać doktorem, nigdyby za męża nie wyszła!” Praktyczna, jak zwykle, Estera, żartobliwie — właściwym byłby tu śmiech ironiczny — woła: „Nie trzeba za nic ręczyć!” W dziwnej sprzeczności z powyższem oświadczeniem Natalki znajduje się też następująca rozmowa, która odbyła się tegoż dnia. Stary Durmunt tak się odzywa. „Już ci panna stworzona, idź za męża poszła...” „Ja się też wcale zamążpójścia nie wyrzekam” — odparła Estera. „Narzeczonego ma!” — woła tryumfująca Natalka. Gdybyśmy wszakże wraz z p. Szeligą uwierzyli, iż w duszy jej bohaterki odbył się nieprawdopodobny przewrót psychologiczny, iż naraz zechciała stać się kapłanką wiedzy i poświęcenia, nie zaś „ogniska domowego,” wówczas pobudki jej kroku wcale nie lepiej się przedstawiają. Oświadczając ojcu w dzień po *polowaniu* o chęci swej wyjazdu na medycynę, podaje za powód: „Ojcie, ja już jestem niemal starą panną; wczoraj przekonałam się o tem...”

W innym miejscu niejaki Witoldowicz, jeszcze jeden ideał p. Szeligi, z którym zaraz bliżej się poznamy, twierdzi, iż nie poleca bynajmniej nauk wszystkim pannom, tj. młodym, ładnym, a głównie posażnym, te, proszę was, i bez medycyny się obejdą.

„Ale są takie, co im zda się wprost sama natura wytknęła drogę ułatwioną położeniem i przeznaczeniem. Są córki obywatelskie, wędniejące jak kwiateczki w cieniu...” „Którym się wędnać sprzykrzyło” — wsunęła wesoło Natalka. Każdą ideę można spłaszycy i sponiewierać, ale trudno to zrobić w znaczniejszym stopniu, niż p. Szeliga uczyniła. A więc do nauki mają się brać albo bezposażne i stare panny, które straciły bezpowrotnie nadzieję zamążpójścia w kraju i na nic innego nie są zdolne, albo też w najlepszym razie istoty zepsute, upadłe, jak p. Helena. Ani jednego typu młodej dziewczyny, kierowanej przekonaniem, autorka nam nie dała, przedstawiła tylko geszefciarki, jak Estera, które w medycynie szukają zyskowej kariery, albo też rozbitków w spódnicach, którzy osiedli na miełach brudu życiowego i w „nauce” chcą znaleźć ostatnią przystań.

Ale wróćmy do naszej smutnej bohaterki. W ciągu kilku lat, które na medycynie spędziła, przemieniła się ze „starej panny” na powabną, w pełnem znaczeniu tego słowa, kobietę, skutkiem wewnętrznego zadowolenia, jakie medycyna daje. Z czasem kobiety zamiast do Lourdes, jeździć będą do Paryża krajać trupy: siwowłose kobiety zamieniają się pod wpływem dobroczynnej tej pracy na kwitnące dziewice.

Wbrew obietnicom Estery nie znalazła ona wprawdzie ani studenta, ani internata, ale męża znalazła. Był nim Witoldowicz, całujący panny po rączkach i wielki zwolennik nie tylko medycyny dla kobiet, ale „wielkanocnych ryb i klusek z makiem.” Człowiek zamożny i podeszłego wieku, który podług przysłówia, że „w starym piecu djabeł pali,” zapłonął „wiekuistą miłością” do odmłodzonej w potokach medycyny bohaterki. Przyznaje się on wprawdzie kilkakrotnie, iż ma już porządne lata, ale Natalka zapewnia go, iż dla małżeństwa nigdy za starym być nie można. Koniec końców okazuje się, iż jeżeli panna bez posagu męża dostać nie może, to za to doktor-kobieta zawsze go znajdzie i to z posagiem. P. Witoldowicz zakupił folwark swej przyszłej żonie, bo „nuż takiego jak on starego dęba grom uderzy” i starać się będzie o to, by „jej było wygodnie”; przyjeżdżając zaś do Paryża, zawsze przywoził narzeczonej prezenty, ostatnim razem nawet trochę siana do „stołu wigilijnego,” siana tego mogłaby bohaterska para śmiało skosztować wraz z całym zebraniem u Natalki wolnomyslnem towarzystwem, które śpiewa.

A teraz powiedzmy jeszcze słów kilka o tem towarzystwie. Autorka odkrywa przed nami porządne błotko, w którym pływają karierowicze w surdutach i spódnicach, „dzielne chłopcy,” których dzielność polega na tańczeniu mazura w każdej porze dnia i nocy, bezmyślne papugi „kujać” od rana do wieczora osteologię, którą powtarzają nawet zakochane pary, trzymając się za ręce i spoglądając sobie miłosnie w oczy. Co za rozczulająca sielanka: para gołąbków gruchających sobie ustępy z osteologii! Ale oto główniejsze osobistości, występujące obok wyżej scharakteryzowanej bohaterki: Estera Weissblatt, która nie chciała w kraju wyjść za myszurysa, by poślubić w Paryżu jakiegoś głupkowatego doktora, która mówi wciąż o poświęceniu dla ludu, a jednak pobudzona przez „zobowiązania sercowe,” porzuca kraj, aby pozostać zupełnie bezużytecznym pasorzytem w salonach paryskich, która prawi o samodzielności i odrazu znajduje się „na utrzymaniu” swego męża, sprawiającego jej sutą wyprawę. Geszefst ten nawet puklerzem nauki osłonięty nie został. Mądra Estera ma bardzo praktyczne poglądy na naukę. „Ce pauvre Berrichon,” mówili francuzi, spoglądając na jej męża: rzeczywiście wart on politowania. I Estera jest dla p. Szeligi „dzielna, mężna i wzór.”

A oto macie: Adele Zdziebkowska, „śmiała, zręczna, młoda, która nie kryła się wca-

le z zamiarem wydania się za męża doskonałego i krążyły wieści, że uniwersytet był dla niej taką samą areną popisu wdzięku, jak przed paroma laty warszawskie salony.” Dalej macie jakąś idiotyczną litwineczkę, paplającą bzdurstwa wszelkiego rodzaju, pannę Maryę Pszenicką, odznaczającą się białym haftowanym fartuszkim, długim noskiem i kurzym umysłem. Wszystkie te dwunożne stworzenia noszą ku wielkiemu zadowoleniu autorki grzywkę i tiurniury, „jak tego wymaga obyczaj mody,” a nawet zapraszane bywają do „domów familijnych” na herbatkę, co już p. Szeligę w ostateczny zachwyt wprawia: „tak bowiem jest zasługa i pożytek pospolitości.”

Dodajmy, iż bohaterki te po całych dniach „kujać” tylko osteologię, a jeżeli która jeszcze czemś innem się zajmuje, jeżeli jej medycyna nie wystarcza, to p. Szeliga prędko nas uspokaja, iż wiedza „specjalna” wkrótce jej „te głupstwa wybije z głowy.” To też studentki p. Sz. o niczem nie wiedzą i wiedzieć nie chcą. Ale za to są zadowolone nad wyraz i wszystkie „mają odłask pogody wewnętrznej...” Doprawdy nie rozumiem tego cięłego zadowolenia. Wszak medycyna nie zawsze dziś zapewnia nawet byt materialny, a cóż dopiero mówić o możliwości zrobienia czegoś tą drogą dla bliźnich. Wszak między poświęceniem kobiety a ludem stają rozmaite przeszkody. Głębsze wniknięcie w swe położenie wskazałoby na pewne anomalie społeczne, dałoby szerszy pogląd. Ale bohaterki p. Sz. mają głowy tylko od grzywek.

Jeszcze gorzej przedstawia się mężka polowa kolonii. Oto Honorat Wawelski, „trochę matador i zawadyka,” któremu, jak autorka z pobłażliwości powiada — „reszta dumy szlacheckiej kręciła w głowie,” z różowiejącym noskiem, za którym wszystkie panie z kolonii przepadały. Dziwny gust do „różowiejącego” noska! Dalej macie „niezaradnego, cichego i wybitnego” niedołęga, Welinowicza, mizeraka Butterbrodka, wraz ze swą Birnbaumówką dążący „spokojnymi oczyma” do „upragnionego celu,” którym ma być dobrobyt. Dalej mąż „bladej kobieciny,” która, przyjechawszy w zamiarze uczenia się, marzy wraz z nim o polepszeniu „bytu finansowego.”

Autorka nie przedstawiła żadnej osobistości o szerszych dążeniach, a jeżeli napomyka o czemś podobnem, wprowadza jakiegoś idiotę „o bujnym włosie w nieładzie, cedzącego słówka zwolna i z przesadą,” który „trawiony gorączką ambicji, chce się wznieść ponad Maraty i Napoleony.”

Oto macie galerię „bohaterskich dziewcząt i dzielnych chłopców!”

Sądze, iż autorka wcale nie zna sfery, którą opisuje. Dlatego obraz jej wypadł tak nieponętnie. W rzeczywistości studenterya stoi daleko wyżej pod względem umysłowego i społecznego rozwoju, niż to się autorce wydaje. Są dziewczęta, któreby mogły wyjść w kraju za męża, a jednak wolą jechać za granicę, pobudzane czy to żądzą wiedzy, czy też niezadowolaniem. Istnienia takich dziewcząt p. Szeliga nawet nie podejrzewa. Wybrała sobie ona za temat błotnistą kępkę, która mogła co najdalej służyć za temat do satyry, ale nigdy do apoteozy.

Leon Winiarski.

A Ż D W A...

Bellamy Edward. *W wieku XXI*. Spolszczył K. O. R. Kraków. Cena 50 kop.

W roku 2000 (Looking Backward. 12000 — 1887). Powieść. Tłómaczył z oryginału J. K. Potocki. Warszawa. Cena 75 kop.

Słynna książka Bellamy'ego doczekała się w polskim języku aż dwu i równocześnie

nych przekładów. Ze względu na to, iż czytelnicy *Prawdy* w swoim czasie mieli już sposobność powziąć niejaki wyobrażenie o treści i znaczeniu tego utworu z artykułu p. Żywickiego (*Nationalist League Agitation*) oraz z urywków pomieszczonych w odcinku, poprzestaniemy na kilku uwagach, które nam nasunęło zestawienie ze sobą obu przekładów. Tłumaczenie p. J. K. Potockiego, dokonane gładko, odznacza się przede wszystkim tem, iż z oryginałem pozostaje w najzupełniejszej zgodzie. Ani na chwilę tłumacz nie uczuł potrzeby jakichkolwiek amputacji — zmian lub uszczupień... Szło mu prosto o dosłowność. Styl pozostał ten sam, nie z cech swoich nie uroniwszy, nawet utrzymały się okresy długie i ciężkie, jak pociągi towarowe.

Przekład K. O. R. ma inne cechy. Przedewszystkiem jest on nieco uszczuplony i stylowo zwięzlejszy. Brakuje w nim przedmowy od wydźwiału historycznego w uniwersytecie bostońskim z datą 26 grudnia 2000 roku oraz rozdziału, w którym bohater powieści wdaje się w refleksję. Brak również końcowego ustępu i rozdziału, w którym przewodnik bohatera, dr. Leete, wyjaśnia mu rolę partij robotniczo-politycznych, jaką one, zdaniem jego, miały odegrać w sprawie przełomu społecznego. Z tym rozdziałem czytelnik traci możność poznania przekonań autora, mocno nacechowanych utopijnością Cabeta *et tutti quanti*, którzy się odwoływali nie do interesu klasowego, lecz do dobrych serc mieszczaństwa. Tłumacz zapewnia, iż wszystkie opuszczenia, razem wzięte, wyniosą około 12—17 str. — „uszczuplenie, ilościowo — nieznaczne, lecz jakościowo — pożyteczne“... *)

Zmiany, na które on sobie pozwolił, nie dotknęły w niczem ważniejszych miejsc powieści. Przybrała ona wprawdzie inną nieco postać, niż w oryginale, skutkiem tego, że społeczeństwo, umieszczone przez autora w wieku XXI, tłumacz przeniósł w sferę marzeń sennych bohatera — zasypia on, śni i budzi się w XIX, — stała się jednak przez to naturalniejszą. Bohater, zbudzwszy się ze snu hipnotycznego, pod wpływem czarodziejskiego marzenia czuje się radykalnie zmienionym uczuciowo i umysłowo i znowu wróciwszy na łono naszego stulecia, odwołuje się do dobrych serc oświeconego mieszczaństwa, lecz zostaje odepchnięty, wyszydzony i wyrzucony za drzwi. Taki koniec powieści jest bardziej zgodny z rzeczywistością i potęguje efekt społeczno-psychologiczny. A właśnie na tem się urywa wątek powieściowy w tłumaczeniu krakowskim.

K. O. R. poszedł śnać za przykładem tendencyjnych przeróbek zachodnio europejskich demokratów społecznych, którzy w nich uznali za stosowne dla swoich celów odwiać plewy od ziarna. Żałować tylko wypada, że nie dał poznać czytelnikom (choćby w dopiskach), tych pocisków krytycznych społecznego demokratyzmu, które zasłużyły dotknąć Bellamy'ego za tu i owdzie tułające się w jego książce filisterstwo. Dodać kaze słusność, że, co było godnego uwagi w ustępach opuszczonych, (porównanie dzisiejszego społeczeństwa do „kocobryka“ z pasażerami w nim i siłą pociągową ludzką przed nim, znajdujące się w wielosłownym I-ym rozdziale oryginału), streszczone zwięźle, znalazło swe miejsce w przedmowie.

Staranne pod innym względem wydanie krakowskie nie ustrzegło się kilku szpetnych błędów zecerskich: w przedmowie np. „Jan-żul“, znany ekonomista ruski, wystąpił jako *Janzul*, a „kazanie“ — przedzierzgnęło się w *karanie*; albo znów gdzieindziej, na

str. 89, „Słoń“ (nazwa jadłodajni społeczeństwa wysnionego) zmienił się w *Słońce*. Można się pocieszyć, że i to ostatnie ma plamy...

Ubolewać by można, że, jak na nasze miernie rozwinięte czytelnictwo i słabe środki materyalne, pojawienie się aż dwóch przekładów tej samej książki — jest rozrzutnością nieopatrzną. Ale pocieszymy się. W książce Bellamy'ego drobna własność i wszystko, co z nią jest sprzężone, znika bez wieści i na zawsze, natomiast zaś idea t. z. „kraju-folwarku“, wcielona na obszernej skale w ustrój XXI w., zajmuje przodujące miejsce. Jakkolwiek tedy, ze względu na oszczędność, radzibyśmy widzieć usiłowania tłumaczy idące w kierunku rozbieżnym, to jednak, widząc taką uznania wartą zgodność p. Potockiego i wydawców z K. O. R. w wyborze książki poświęconej wcieleniu właśnie idei „kraju-folwarku“, nie wahamy się zarówno obu przekładów polecić pamięci czytelników.

Zyg. Piet.

ALEKSANDER GŁOWACKI

(Bolesław Prus).

VII.

Z „Anielką“ a głównie z „Placówką“ opuszczył Prus niwą noweli, a wszedł na pole powieści, gdzie zamierzył spróbować swych sił w ramach dzieła obszerniejszego i napisał trzy tomową „Lalkę“. Tworzył on ją i jednocześnie drukował (w *Kuryerze codziennym*) lat parę, a chociaż w wydaniu książkowym (1890) zatarł wiele śladów tej kawałkowej pracy, niektóre ze szkoda dla całości pozostały. Przeciwno takiemu sposobowi pisania, wywołanemu u nas rozrastaniem się dziennikarstwa, a praktykowanemu niemal powszechnie, występowało już nieraz z naganą lub żalem, a zawsze z dobrą racją. Każdy autor tworzy częściami, ale nie utrwalając ich natychmiast drukiem, może później usuwać sprzeczności, poprawiać błędy, słowem dostrajać całość do jednego tonu i siły. Nadto, nieskrępowany koniecznością dostarczenia rękopisu z dnia na dzień, może wybierać sobie do pracy dni stosowne, a omijać nieprzyjemne, wyzyskiwać chwile ochoty, zapału i zdrowia, a przepuszczać chwile przygnębienia, niechęci i choroby. Wprawdzie Prus nie dostrzymywał ściśle terminów, robił w drukowaniu „Lalki“ przerwy kilkodniowe, a nawet kilkomiesięczne, tak, że rozpaczona redakcja musiała jego i siebie bronić od szturmu czytelników; ale nie zdołał zapobiedz, ujemnym skutkom tworzenia ularkowego. Sprowadzała je zaś nietylko owa metoda, ale także natura jego talentu. Może najsłabszą jego stroną jest plan, układ, kompozycja, zwłaszcza o skali większej. Jest to widocznem, że Prus, rozpoczynając swą powieść, nie znał sam ani jej rozmiarów, ani całego wątku, ani wszystkich postaci i dopiero podczas pisania wysnuwał pomysły i wprowadzał figury. Czasem zdaje się, że w zakłopotaniu o dalszy ciąg chwytł z bieżącego potoku jakąś kwestję i wplatał ją w treść opowiadania, tak, że w niej odnaleźć można wszystkie ważniejsze przedmioty myśli, które przesunęły się przez pracę podczas paroletniego druku „Lalki“. Te domieszki stanowią w niej żywiół społeczny i jak gdyby tendencyjny; natomiast nie główna zwija się z analiz psychologicznych. Chłopiec, służący w handlu win, Wokulski, ogarnięty pragnieniem wiedzy, pożera w wolnych chwilach książki, przygotowując się do egzaminu i wstępuje do Szkoły Głównej, odurzony ciągle marzeniami o nowych wynalazkach. Ale gdy rzeczywistość potargała mu złudzenia i odarła ze skromnych zasobów, postanowił gonić szcze-

ście po tej drodze, po której ono bieży — wszedł do handlu, gdzie naprzód zdobył i poślubił bogatą wdowę.

— „Wiem — rzekł do przyjaciela — że jestem świnia; ale jeszcze najmniejsza z tych, jakie tu u was cieszą się publicznym szacunkiem.“

Później objaśniał, że „sprzedał się nie dla zyskania majątku, ale z nędzy.“

Objawwszy wraz z żoną sklep galanteryjny, rozwinął jego obroty, do czego mu dopomogły zwłaszcza zawiązane stosunki z kupcami moskiewskimi. „My odpoczywaliśmy przynajmniej w święto — opowiada jego subjekt — podczas gdy on nieborak właśnie w święto od rana musiał brać żonę pod pachę i maszerować przed południem do kościoła, *) po południu z wizytami, wieczorem do teatru.“ Był małżonkiem dziwnie potulnym, niezdradzającym wcale przyszłego hartu. „Żona, dostrzegłszy, że między kundmankami trafiają się przystojne, cofnęła Stacha z sali frontowej za szafy i jeszcze kazała mu zrobić tam budkę, w której, siedząc jak dzikie zwierzę, prowadził księgi sklepowe.“ Po pięciu latach takiej doli stracił żonę, która zmarła „objadłszy się czegoś“ — według tomu I, czy też po wytarciu się jakimś odmładzającym „likworem“ — według II. Wokulski „po tem nie-szczęściu milczał, ale jeszcze bardziej osowiał. Mając kilka tysięcy rubli dochodu, przestał zajmować się handlem, zerwał ze znajomymi i zagrzebał się w naukowych książkach.“ Pewnego dnia poszedł do teatru i wrócił odrodzony: „wyprostował się, oko nabrało blasku, głos siły.“ Ujrzał tam bowiem pannę Izabelę Łącką, w której odrazu się rozkochał. Ponieważ należała ona do sfery arystokratycznej, więc Wokulski postanowił wypełnić istniejący między nimi przedział towarzyski pieniędzmi i w tym celu wyjechał do Bułgarii, gdzie toczyła się wojna, dla zrobienia majątku na dostawach. Rzeczywiście w dwa lata zdobył „przeszło trzysta tysięcy rubli.“ Opowiadając o tem przyjacielowi, uspakaja słuszną jego obawę o czystość źródeł takiej sumy:

— „Nie bój się, grosz ten zarobiłem *uczciwie*, nawet ciężko, bardzo ciężko. Cały sekret polega na tem, że miał bogatego wspólnika, (kupa moskiewskiego) i że kontentowałem się cztermi i pięć razy mniejszym zyskiem, niż inni.“

Naturalnie, pomimo wszystkich zapewnień bohatera, czytelnicy powątpiewają ciągle o „uczciwości“ i „całości sekretu“ wypompowania tylu rubli w Bułgarii; ale wreszcie sam on później rozdziera sobie złudzenie. „Zmieszałem się z ekonomicznymi szulerami, stawiałem na kartę pracę i życie, no... i wygrałem. Ja idealista, ja uczony, ja który przecie rozumiem, że pół miliona (łącznie ze sklepem) rubli ożłowiec nie mógłby wypracować przez całe życie, nawet przez trzy życia. A jedyną pociechą, jaką jeszcze wyniosłem z tej szulerki, jest pewność, że nie kradł i nie oszukiwał (pociecha zwodna, bo musiał oszukiwać). Mówiąc prawdę, powinienem ten wysulowany majątek zwrócić ogółowi.“ Nie ulega wszakże temu popędowi. Wprawdzie wspiera jakiegoś furmana i drożnika, oddaje do Magdalenek i wprowadza na drogę enoty upadłą kobietę, podobno pomaga studentom i rzemieślnikom, zawiązuje nawet jakąś dość fantastyczną „spółkę do handlu z cesarstwem“, w której uczestniczą książęta i hrabiowie i która, dając dobre zyski, upada dzięki ich niedołęztwu; ale obywatelskie jego czyny albo są nikłe, albo też wpływają jedynie z chęci podobania się pannie Izabeli. Tej chęci, a właściwie manii, dogadza on, rzucając pieniądze wszędzie,

*) Gdy autor później potrzebował przedstawić swego bohatera twardszym, kazał mu być tylko dwa razy w kościele: „na ślubie raz, na pogrzebie żony drugi raz.“ Zaznaczamy też sprzeczność jako jedną z wielu usterek, wolskających się zwykłe przy tworzeniu równoległe z drukiem.

*) Sądźmy, że tu wkradła się omyłka zecerska — opuszczenia prawdopodobnie przekroczyć liczbę 17 str. *Przyp. autora.*

gdzie tylko spotka potrzebę lub kaprys ubóstwianej. Może to zaś czynić, gdyż niewyczerpanym upustem zlewają się na niego ciągle potoki rubli. Wyjeżdża np. raz do Moskwy i „nie wiadomo, co tam robi,” dość że przywozi 70,000 rubli; wyjeżdża drugi raz dla uregulowania rachunków z dawnym spółnikiem, u którego już „ma z pół miliona rubli”; znajduje się w Paryżu, gdzie ten spółnik nabywa statki — i znowu z tej operacji przypada Wokulskiemu „ogromny a najzupełniej legalny zysk.” To też wygląda on czasem jak rozpruty worek pieniędzy, z którego one wylatują na bruk, a biegnąca za wozem gawiedź zbiera je skwapliwie. Wszystkie jednak garście złota, któremi obsypuje drogę spaceru przez życie panny Izabeli, nie otwierają mu jej serca. Wychowana w atmosferze zbytku i elegancji, czuje odrazę do kupca; po stratach majątkowych ojca przyjemności bogactwa i pewne zrozumiałe dla niej zalety, jakie jej ofiaruje czuły natręt, przyciągają ją ku niemu na chwilę; ale szybko odchyła się ona w stronę innych wielbicieli, często zwykle bezwartościowych moralnie i umysłowo, ale jednogatunkowych. Głos wewnętrzny tłumaczy to Wokulskiemu dosadnie: „Najpiękniejszy lew jest wstrętnym dla krowy, albo orzeł dla gęsi... Unikaj zatem samiec innego gatunku.” On wszakże z uroku tej „samicy” wyzwolić się nie może. Niezliczoną ilość razy uświadamia sobie swoją naiwność, jej niechęć, a nawet przewrotność, ale po każdym zawodzie i rozczarowaniu otacza się mgłą nowej iluzji. Ten ruch wahadłowy jego serca w stronę niewiary lub nadziei, to ustawiczne przekonywanie się o obojętności lub obłudzie fanatycznie kochanej kobiety wraz z natychmiastową obroną jej postępowania — stanowią główną ośnowę „Lalki,” której akcja skutkiem tego kręci się jak fryga na jednym miejscu i nuży swą jednostajnością. Zmęczony taką kołowacizną miłosną czytelnik obrzydza sobie wreszcie nieuleczalnego maniaka, który okazując, a nawet popisując się hartem i energią w życiu, wobec kobiety próżnej, która go lekceważy i zaledwie pajęczą nicią zalotności trzyma, jest chorobliwie niedołężnym i niepoprawnym mazgajem. Gdy po długim szeregu zawodów, upokorzeń i jęków nareszcie odbiera sobie życie w ruinach zamku, uznajemy, że na śmierć i odpoczynek zasłużył, ale nie na żal, a tem mniej na cześć. Budzi on bowiem więcej współczucia, niż podziwu, którego doznajemy tylko wobec jego sztuki szybkiego mnożenia pieniędzy. Czy możliwym jest logicznie i życiowo taki człowiek z dwu różnorodnych połów skleiony? Wątpimy, chociaż on sam o sobie powiada: „We mnie jest dwu ludzi, jeden zupełnie rozsądny, drugi waryat.” Rozsądek z waryactwem nieraz łączy się, ale chyba nigdy — praktyczność z idealizmem, energia ze słabością, twardość z miękkością, rozum z głupotą. Ten człowiek, który zaglądając mu w oczy biedę odpędza ożenkiem z bogatą wdową, który jest wybornym kupcem, spekulantem, przedsiębiorcą, który w ciągu kilku lat z 30,000 rs. robi 600,000, krąży koło panny jak gimnazysta, nie może się zdobyć na żadną stanowczość, rozgrzebuje ciągle myślą swoje miłosne żużle, zatapia ją w majaczniach alchemika, a przytem ulega halucynacyom i napadom nerwowym. Wystawcie sobie tego dostawcę z wojny bułgarskiej, który na widok swej postaci, odbitej w lustrze... „zerwał się z łóżka, jego sobowtór zerwał się również szybko. Pobiegł do okna — tamten także. Otworzył gorączkowo walizkę, ażeby się przebrać — i tamten również zaczął przebierać się, widocznie z zamiarem wyjścia na miasto. Wokulski czuł, że musi uciec z tego pokoju.” Tacy ludzie nie trudnią się dostawami wojskowymi, a w każdym razie nie zarabiają na nich.

Kreśląc pierwsze rysy charakteru Izabeli, Prus był pod natchnieniem szczęśliwego

pomysłu, jeśli chciał przedstawić istotę delikatną, przesłoniętą od świata obłokami swojej sfery, zapatrzoną w blaski wywyższenia towarzyskiego, nieznającą padółu, niepojmującą życia, z natury dobrą i czułą, ale niezdolną ocenić Wokulskiego, chociaż mężczyznę innego „gatunku.” Później wszakże zamienił ją na bezduszną „lalkę,” która szuleruje oczami i ustami, prowadzi grę na obłudne słowa i pozory, podstępna i niesumienna. Od tej chwili bohaterka przestaje być interesującą i nową, a skutkiem tego nie usprawiedliwia już chronicznej choroby serca w swym dziwnie wytrwałym i zaślepionym wielbicielu.

Prus nie jest powieściopisarzem bohaterów wielkich, lecz małych, cichych i ukrytych. To też o ile chybia we wszystkich wyśilkach wypromowania Wokulskiego na charakter niewykłej miary, pomimo że oblewa go ciągle deszczem złotym, każe mu ciągle „robić wrażenie,” zginać najsztwniejsze karki arystokratów, zdobywać serca kobiet samym swoim widokiem i nawet „na ulicy być przedmiotem ogólnego zainteresowania,” o tyle bez nadzwyczajnych środków, barwami zwykłej dobrodusznosci tworzy daleko prawdziwszą i sympatyczniejszą postać jego subiekta — Rzeckiego. Musiałby w tym starcu tkwić talent Prusa, ażeby on mógł tak pisać swój pamiętnik, przeplatający powieść, jak go z humorem napisał. Ale po za tem nadmiernem uposażeniem znajdujemy w nim dużo prawdy realnej, a nadewszystko zgodności cech. Dawny romantyk, marzyciel poddaje się niewolniczo urokowi swego przyjaciela i pryncypała, w którym domyśla się meża stanu. Kilkadziesiąt lat pracował w jednym sklepie, zrósł się i żył z nim, długie nawyki owinęły go płatami jak mumie, w skromności pragnień powiedły mu wszystkie uczucia osobiste, w słuchaniu cudzej woli stracił władzę rozumu — a gdy w Wokulskim zgłasza pochodnia jego myśli, gdy nowonabywcy wyważyli go ze stanowiska w sklepie, umarł. Na zamykające się jego oczy nie padł ani jeden promień, tylko same mroki. Po stać ta wystrzyżona z fantazyi, ale tętnami swego serca przypomina ziemię.

Za tą trójką pierwszego planu „Lalki” stoi liczna grupa figur podrzędnych, nieraz mistrzowsko naszkicowanych: pani Stawska, młoda wdowa zakochana w Wokulskim, Szlangbaum szaradzista, doktor Szuman, przepysny okaz swojej (żydowskiej) rasy, arystokraci najrozmaitszych odmian, studenci, subiekci itd. Każda z tych figur rzucona jest na tło życiowe, znakomicie otworzone. Pomysłowość fantazyi współzawodniczy z wiernością fotografii, a ponieważ Prus jest mistrzem szczegółów, więc w tych drobiazgach sypią mu się z pod pióra perły artyzmu, zwłaszcza gdy je nasączy humorem. Oto sylwetka fryzjera, który strzygąc Wokulskiego, opowiada o zabawie na Saskiej Kępie:

„Pokłócili się w tańcu i — proszę sobie wyobrazić, że jeden, chcąc kopnąć drugiego w wystawę — uderzył w damę! Zrobił się hałas... pojedynek. Mnie naturalnie wybrali na sekundanta i właśnie byłem dziś w kłopotcie, bom miał tylko jeden pistolet, kiedy, przed pół godziną, przychodzi do mnie obrażający i mówi, że nie głupi strzelać się i że obrażony może mu oddać — byle tylko raz. Główkę na prawo *s'il vous plait*. No, wie pan, byłem tak oburzony, że porwałem faceta za galeryjkę, kolanem w antresolę i — won za drzwil. Ze też nigdy u pana dobrodzieja nie spostrzegłem ani śladu kobiety: przychodzi pewnie w rozmaitych godzinach, a oko panie, mam na te rzeczy... no! Pomimo to ani rąbka spódniczki, ani pantofelka, ani kawałka wstążki! A przecież nawet raz u jednego kanonika zdarzyło mi się widzieć gorset; prawda, że znalazł go na ulicy i właśnie chciał bezimiennie odesłać do redakcyi. A, panie, u oficerów, szczególnież zaś u huzarów!

(Główkę na dół *s'il vous plait*) Czyste zażręsenie!” itd.

Oto znowu Szlangbaum, który pożyczając pieniędzy i układa szarady. Ma on wnuczka dziesięcioletniego, który po nim odziedziczył tę sztukę i zachwyca dziadka.

— „Niech no pan słucha — mówi stary — jaki on do mnie w tamten tydzień list napisał. Mój dziadku — on pisał, ten mały Michaś — ja potrzebuje takie szarade: *pierwsze* znaczy dół, *drugie* — przeczenie, *wszystko* razem kortowe odzienie. A jak dziadzio — on pisał, Michaś — zgadnie, to niech mi dziadzio przysła sześć rubli na ten kortowy interes” (spod-nie). Dziadzio się rozplakał i posłał wnukowi — cztery ruble, ażeby go nauczyć oszczędności.

Podobnych scen charakterystycznych jest w „Lalce” mnóstwo. Nie wiąza się one ściśle z ośnową powieści, mogą być od niej odejście, ale ją nadzwyczajnie urozmaicają i podtrzymują uwagę czytelnika, znużoną zbyt długo trwającym romansem miłosnym pary bohaterów głównych. Nie Wokulski z Izabelą w dalszym ciągu przykuwają do tej książki, ale barwny i żywy kalejdoskop postaci, które autor ciągle przesuwa — studenci, wykręcający się od płacenia komornego, Geist nowoczesny alchemik, usiłujący wytworzyć metal lżejszy od powietrza, Ochocki rozmyślający o wynalazkach, dr. Szuman, zajęty badaniem włosów ludzkich i tłumaczący życie paradoksami itd. Ponieważ zaś Prus nie jest wielkim malarzem, ale nieporównanym rysownikiem szkiców, więc te jego drobne wizerunki i obrazki są prawie zawsze znakomite.

Ogarnijmy teraz wzrokiem „Lalkę” jako całość i talent jej autora.

(D. n.)

J. K. GREGOROWICZ.

(Wspomnienie pośmiertne).

Zrobił wszystko, co mógł i do czego był zdolny, pracował niezmordowanie i uczciwie, a gdy siły wyczerpał w trudach i wieku, położył się do grobu, pozostawiając dobrą po sobie pamięć. Nazywał się właściwie Solowjew, jak dziad jego małorusin, ale nazwisko to, publicznie nieznane, zamienił na szcztątkowy przydomek rodzinny, przybrawszy jako syn Grzegorza (Hrehora) inne — Gregorowicza. Ojciec jego był kupcem w Warszawie i Zgierz, a następnie rolnikiem. Tego zawodu spróbował naprzód Jan w Zegrzu nad Narwią, gdzie osiadł na stu morgach jako czynszownik wieczysty. Zniszczony pogorzelą i klęskami, osiadł w Warszawie, zamieniwszy plug na pióro. „Obrazki wiejskie” ujawniły w nim miłośnika i znawcę ludu, pomazanie na pisarza ludowego. Jednocześnie jako współpracownik, a później redaktor zajmował się sprawami rolniczymi. Przez lat kilka kierował *Gazetą codzienną*, po niej założył z Lewestamem *Wolne żarty*, a w r. 1860 nabył *Magazyn mód*, który przekształcił na *Tygodnik mód*, do śmierci zostający pod jego redakcją. Uprawiał on rozmaite niwy literatury, powieściową i dramatyczną, głównie wszakże w dwóch kierunkach objawił zdolności i położył zasługi: jako pisarz dla dzieci oraz autor obrazków z życia ludu i dla ludu. Pierwsze czytywały chętnie jego *Przyjaciela dzieci*, drugi wiele zawdzięcza Jankowi z Bielca i Kazimierzowi Góralczykowi (jego pseudonimy), redaktorowi *Kmiotki* i *Zorzy*. Działalność jego nie była imponującą a talent potężnym, ale maluczyz winni mu dużo znacznych chęci i dobroczynnych wpływów. Dwa wieniec należą się jego trumnie: od dzieci i chłopów, których znał, kochał i oświecał, a słowa uznania i żalu od wszystkich świadków jego zacnej pracy.

X 750-16. 40 psm 2. 17. 1897

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Dwa listy. — Odezwa p. G. Wiercieńskiego w sprawie niedoli ziemian. — Bezwładność wybranej instancji i żadanego wlecu. — Rozszerzenie się zależności stosunków. — Badanie współzawodnictwa furmanów z kolejami żelaznymi. — Naturalny objaw. — Nowy cud światła czyli „Samson” parowy. — Ostrożność nie zawadzi. — Pięćdziesięciolecie szkoły weterynaryjnej. — Usychanie ważnej gałęzi wiedzy. — Gaszony ogień. — P. J. Ochorowicz odcleży od praktyki lekarskiej. — Szkoda zdolności. — Szkice St. Witkiewicza. — Mate-
ryał naukowy w obrazach artystycznych.

Jednocześnie dwaj ludzie uczuli potrzebę publicznego przemówienia do ogółu: p. Tadeusz Pawlikowski doniósł, że zerwał układy z obecnym dyrektorem teatru krakowskiego, a p. Gustaw Wiercieński wezwał wszystkich, mogących zdobyć się na jakąś radę, ażeby ratowali ginących rolników. List pierwszego powtórzyły skwapliwie wszystkie pisma, bo dotyczył teatru. Przez pewien czas, gdzie rzuciłeś okiem w prasie, spotykałeś prześladowające cię echo: p. Tadeusz Pawlikowski oświadcza itd. Inaczej zachowano się względem listu p. Wiercieńskiego, który nie uderzał w naszą czułą strunę. My chętnie dogadzamy szlachcie, zabijamy jej na ofiarę (zaocznie) codziennie paru żydów, chłopów i pisarzy gminnych; ale gdy ona zaczyna wzdychać i pokazywać nam niedobory w swoich rachunkach, odsyłamy ją do *Gazety rolniczej*. Każda sprawa ekonomiczna jest dla nas, teatromanów i melomanów, śmiertelnie nudna, więc od niej uciekamy nawet wtedy, kiedy dotyczy naszych serdecznych przyjaciół. I panu Wiercieńskiemu pozwolono monologować w *Gazecie polskiej* przy akompaniamencie malenkiego i ziewającego chóru. Czegóż on żąda? Ziemianie według niego stanęli nad przepaścią. Rok miniony przyniósł klęskę, obecny — ubogim plonem i jego tanioccią, wskutek podwyżki kursu rubla, grozi nową. Produkujemy głównie zboże, mamy go mało i musimy sprzedawać po niskiej cenie. „Zachodzi przeto potrzeba myśleć o zagrożonym bycie naszym, o przewidywanym a tak rychło mogącym nastąpić upadku materialnym. Obniżenie się wartości ziemi może dojść do niebywałych rozmiarów i pociągając za sobą, wielkie straty lub upadek wielu instytucji, a tem samem źle oddziaływać na cały dobrobyt państwowy.” Trzeba więc radzić. W tym celu autor stawia taki wniosek: „Aby Towarzystwo popierania przemysłu i handlu, uznając ważność położenia, starało się wyjednać zezwolenie na odbycie w Warszawie specjalnej narady w gronie kilkunastu lub kilkudziesięciu wybranych i powołanych, a najwybitniejszych rolników dla zbadania środków, jakieby rolnictwu wogóle były niezbędne, a z możliwością przedstawienia prac i konkluzji do uwzględnienia rządu.” Każda narada ludzi inteligentnych i doświadczonych nad wspólną niedolą jest pożądana i korzystna; nie przeczymy tedy, że ta mogłaby wydać jakiś owoc; ale jeżeli p. Wiercieński spodziewa się po niej środka skutecznego, któryby wyleczył rolnictwo nasze z niemocy i dał mu siły, to ulega wielkiemu złudzeniu. Naprzód bowiem nie jest to choroba miejscowa, lecz powszechna w świecie cywilizowanym. Sam autor przyznaje, że przesilenie rolnicze „dotknęło obecnie całą Europę, a nawet Amerykę”; czy więc ono może być zażegnane usiłowaniami jednego małego kraju, a nawet potężnego państwa? Łagodzik! je u nas niski kurs waluty; czyż więc należy jego podwyżkę znieść i zepchnąć go do poprzedniego poziomu? Przecież to jest niepodobniństwem, chyba by państwo samo dobrowolnie poderwało swój kredyt, czego nie robi i zrobić nie może. Nadto Towar-

zystwo popierania przemysłu i handlu, do którego p. W. się odwołuje, orędując za jego projektem, znalazłoby się w dziwnym położeniu. Naprzód jako instytucja opiekuńcza przemysłu i handlu musiałoby wystąpić przeciw tym dwu gałęziom gospodarstwa społecznego, korzystającym z obecnego położenia, a powtóre, prosząc o wiec rolniczy, mogłoby otrzymać kłopotliwą dlań odpowiedź: wszakże macie w swem łonie osobną sekcję rolniczą, czemuż ona nie zbada sprawy i nie przedstawi swych wniosków za pośrednictwem głównego organu w Petersburgu? Nie wątpimy, że członkowie tej sekcji gryzą podsuwany im twardy orzech, że próbują go rozłupać radcy Towarzystwa kred. ziemskiego a wreszcie ukształcone odpowiednio jednostki; ale widocznie wszystkie wysiłki rozumów nie doprowadziły do niczego, skoro nikt nie wystąpił ani z lekiem, ani z receptą. Wątpimy zaś, ażeby szczęśliwsze były te rozumy w nowej kombinacji ułożone i ażeby rozwiązały zadania, które przerosło siły posiadaczów i obrońców większej własności ziemskiej w najoświecenijszych krajach przy najzupełniejszej pomocy swoich rządów. Rak sięga głębiej i rozpościera swe korzenie szerzej, niż wskazują jego objawy zewnętrzne; więc wycięcie guza nie uzdrowi chorego organizmu. Zresztą przy budowie i sądzeniu tej sprawy pamiętajmy zawsze, że każdy niemal dzień rozszerza po kuli ziemskiej sięć zależności jej pojedynczych punktów. Już minęły i nie wrócą te czasy, kiedy szlachcie polski w sprzedaży zboża zależny był od loka z pobliskiego miasteczka lub wreszcie od ...mana z Gdańska; dziś musi on słuchać, co powie Kanada lub Nepal, dziś porusza on się siłą sprężyn działających w całym świecie. Czy może się od nich odosobnić i nie dźwigać tego brzemienia, które obciąża rolników Europy i Ameryki?

Odezuwamy ich biedę, a jednakże jest ona pomyślnością dla innych klas społecznych. Bo czegoż w obronie ziemian żądamy? Ażeby zboże było drogie, ażeby biedacy mieli mniej chleba. W dziwne sprzeczności uwikłał się umysł ludzki dzięki starganemu pasmu stosunków ekonomicznych! Wywija nam się z ust jakaś potworna, waryacka logika, a jednak ma ona swoje uzasadnienie w życiu utkanem z bezsensów.

Doprawdy z bezsensów! Niedawno postawiłem żartobliwą wróżbę, że przy naszej gospodarce kolejowej, skierowanej przeważnie ku wyzyskiwaniu wyższych posad dla dobra osobistego, a lekceważącej interesy społeczeństwa, mogą zmartwychwstać dawni furmani, zapewniający komunikację nieco powolniejszą, ale tańszą. Izmartwychwstał — naprzód wzdłuż klasycznie nie dbałej Terespolskiej, później — Nadwiślańskiej, a obecnie tak zwycięsko współzawodniczą z drogami żelaznymi, że te postanowiły za pomocą osobnych komisji zbadać grunt walki i ocenić siły przeciwników. „Przekonano się bowiem — powiada *Kuryer warszawski* — że konkurencja ta z każdym rokiem przybiera groźniejsze rozmiały, istotnie sprawiając dotkliwy uszczerbek interesom kolejowym na bliższych dystansach. I tak: większość fabrykantów z Tomaszowa rawskiego, zamiast wysyłać swe towary koleją do Warszawy przez Koluszkę, ładują na furmanki, przy pomocy których przewóz kosztuje o $\frac{1}{3}$ taniej, niż koleją, bez kłopotu naładowania na odległą o kilka wiorst stację w Tomaszowie, przeładunku w Koluszkach i wyładowania w Warszawie.” Jeżeli tak się rzecz ma z transportem towarowym, to cóż mówić o osobowym? Co mówić o przejeździe np. koleją Terespolską, skoro ona bilety *sezonowe* (dla letnich mieszkańców) wprowadza we *wrzeźnię*, kiedy już wszyscy wrócili do Warszawy? Zauważył ktoś, że ogłosiła ich sprzedaż wtedy, kiedy otrzymała pozwolenie z ministerjum. Ale dlaczegoż nie postarała się — jak inne — o to wcześniej i set-

kom ludzi, mieszkających wzdłuż jej linii, przez całe lato utrudniała komunikację? Zaiscie należałoby się dziwić, gdyby przy naszym systemie „strefowym,” który, na przekór węgierskiemu, każe płacić za dłuższą odległość, niż podróżny przebywa, nie wyręczały pociągów furmanki.

Miejmy nadzieję, że koleje uprzystępnia się dla ludzi i towarów, gdy do lokomotyw zastosowany zostanie „Samson.” Jest to świeżo wynaleziony przez mechanika tutejszego, p. Br. Kosńskiego któryś tam z rzędu cud świata, zamierzający dokonać epokowego przewrotu w przemyśle fabrycznym. Według ogłoszonego w pismach „komunikatu,” ma ów „Samson” być małym stosunkowo przyrządem, a posiadać taką siłę wśród kotłów, którą zastąpi i wyruguje, jaką posiadał jego imiennik biblijny wśród spółczesnych mu ludzi. „Jest przeto — głosi trąba herolda — ów wynalazek wielce ekonomicznym, gdyż zużytkowuje w stosunku do potrzeb kotłów parowych zaledwie $\frac{1}{10}$ część materiału palnego, wydając te same rezultaty, bez względu nawet na rodzaj paliwa... Da on się zastosować do wszelkich maszyn stałych i transportowych, jak: parostatki, koleje, tramwaje, a nawet do ekwipażów i wozów ciężarnych.” I to wszystko zacznie się od r. 1890, o czem wkrótce mają nas przekonać próby. Dla zapisania tego wielkiego faktu otworzymy i przygotujemy dwie księgi: dzieje wynalazków i zbiór bajek. Zobaczymy, która nam będzie potrzebna.

Warszawska szkoła weterynaryjna obchodziła 50-lecie swego istnienia. Z ogłoszonego w pismach jej zyciorysu nie będę przytaczał nazwisk dyrektorów i profesorów, wykładanych kursów i statystyki studentów. Zauważę natomiast przy sposobności, że szkoła ta nie zdołała wytworzyć u nas w szerszym zakresie ani badań specjalnych, ani uznania dla nich. Weterynarz jest dla nas ciągle konowalem, istotą z szarego końca inteligencji, patentowanej w wyższych zakładach naukowych. Nie potrzebuję chyba rozumnym czytelnikom tłumaczyć, jak wielką doniosłość dla wiedzy ogólnej mają badania nad zwierzętami, którym najważniejsze swe podstawy zawdzięcza biologia i fizjologia, a następnie medycyna. Nie potrzebuję również wykazywać użytku praktycznego tej nauki w zakresie naszego gospodarstwa i hodowli. Spytałem tylko: czemu my jej nie uprawiamy należycie i czemu ją lekceważymy? Czy dla nas nie nadeszła jeszcze pora wyjścia z okresu „konowalstwa” i zestawiania ukształconego weterynarza z ciemnym chłopem, odpędzającym zaklęciami zmyły od koni lub węże od wymion krowich? Czy my jeszcze nie rozumiemy, że każda dziedzina nauki jest zarówno czeigodną, że ta może nam odkrywać wielkie prawdy i dawać nieocenione korzyści? Wszelka wiedza, jak roślina, w uposledzeniu marnieje, nie rozwija się i nie rodzi takich owoców, do jakich z natury jest zdolna. To też nasza literatura weterynaryjna jest uboga, a jej pracownicy rzadko wychodzą po za granice podręczników praktycznych. Nie wynoszą oni ze szkoły w swych piersiach zapалу do badań, a jeżeli wynoszą, to życie swym chłodem szybko go gasi. A przecież tym ogniem długo ogrzewał się genialny Pasteur i jakąż w nim moc poczerpnął!

P. Juliusz Ochorowicz, wytrzymawszy mężnie lub cierpliwie burzę, jaka na niego zwała się z prasy po niefortunnych występach na katedrze publicznej, w szpitalu i praktyce lekarskiej, spokojnie i bez przeszkody korzystał ze swej sławy magnetyczno-hypnotycznego znachora. Pole działalności i zarobków rozszerzało się mu ciągle — był jednym z najbardziej pożądanym i wynagradzanym lekarzów w Warszawie. Jakie były rezultaty stosowanych przez niego ruchów, blaszek, usypiań i poddawania myślowych — nie wiemy, gdyż sam on nimi się nie popisywał, a jego przeciwnicy

znużyli się kontrolą. Nie była wszakże z nich zadowolona policja, gdyż odwołała się do odpowiedniej władzy w Petersburgu z zapytaniem, czy może tolerować praktykę lekarską p. Ochłowicza. I oto w tych dniach nadeszła odpowiedź, ogłoszona publicznie i polecona do wypełnienia organom policyjnym, a wzbraniająca mu bezwzględnie zarówno przyjmowania chorych u siebie, jako też radzenia im w mieszkaniach. Przeczytaliśmy tę wiadomość ze smutkiem. P. Ochłowicz bowiem, zanim został Łukaszkiem hipnotyzmu, zanim puścił się na zarobkowanie środkami wątpliwej wartości naukowej, był zdolnym literatem, poetą, redaktorem, badaczem, wybornym popularyzatorem wiedzy, pomyslowym fizykiem, dał piśmiennictwu kilka prac cennych, zasłużył sobie w nim na dobre imię — i to wszystko poświęcił dla sławy kuglarzkiej, dla kariery niezaszczytnej! Po co mu to było? Czy mu nie szkoda siebie samego, gdy dziś się widzi na stanowisku znachora, dozorowanego przez policję? Może roznamieniał się do swej sztuki i gry, więc czuje tylko gniew wobec przeszłości; ale nam go żal szersze. Nie po termomikrofonie, który był figlem popisowym, grosze przynoszącym i pomimo szumnych wróżb zginął zapomniany, ale po obszernem dziele francuskim o sugestii sądziliśmy, że p. Ochłowicz wybrał sobie tajemniczą dotąd dziedzinę ciekawych i poważnych badań naukowych. Zamiast posuwać tę pracę z pożytkiem i powodzeniem, przyjechał do Warszawy, rzucił rękawicę całej medycynie, skompromitował się nieznaną jej, zaczął leczyć wszystko, aż wreszcie tę praktykę przecięła mu policja. Czy obojętny się na ostatni dystans przebytej drogi, nie żałuje, że z niej zbyczył? Jeżeli nie — to jeszcze inne wyjście w tym kierunku znajdzie, ale do nauki już nie wróci. A my tylko tego powrotu mu życzymy.

Nie życzymy natomiast cofnięcia się p. Witkiewiczu, który w *Tygodniku ilustrowanym* drukuje i ilustruje wrażenia z Tatr. Gdy kiedyś rozwijał swoją teorię estetyczno-malarską, podziwialiśmy jego zapał sekciarski; ale gdy teraz opisuje górali zakopiańskich i wdzięki tamtejszej przyrody, podziwiamy jego talent. Są to bowiem szkice literackie nie tylko bardzo piękne i oryginalne, ale wielce pouczające. Witkiewicz tak przyswoił sobie odmienną mowę ludu zakopiańskiego, której ustawicznie i z wielką wprawą w swej opowieści używa, że daje nawet lingwistom cenny materiał językowy, którego gdzieindziej w takiej obfitości nie znajdujemy. Jest to więc praca wielostronnie wartościowa, w naturalizmie swoim niepodrobiona, ze znamionami talentu i prawdy, z barwą świeżości i urokami piękna.

Posel Prawdy.

Z D A L A.

Elewatory. — Jak objawia niezadowolenie z nich Odeska „bosa komenda.“ — Danina Rosyi „czerwonemu kogutowi.“ — Kredyt melioracyjny dla bawelnictwa środkowo-azyatyckiego. — Dalsze rozpostarcie cywilizacji na Kaukaz i Turkestan.

Do najwybitniejszych środków, przedsiębioranych w ostatnich czasach przez rząd i samo społeczeństwo w Rosyi celem opamiętania żywiołowości handlu zbożowego, wewnątrzno-zewnętrzno — należą niewątpliwie elewatory. Mają one do spełnienia wiele, a przedewszystkiem nadzieje rolników-kapitałistów. Nadzieje zaś te przy pewnych warunkach mogą być zupełnie usprawiedliwione i nie będą wcale płonne. Już dziś kapitaliści rosyjscy dostatecznie sobie uświadamiają wartość ekonomiczną tej instytucji amerykańskiej, reszta zależeć będzie od praktyki, od ducha przedsiębiorczości oraz poparcia rządu i towarzystw kole-

jowych. Elewator, jak wiadomo, jest składową i sortownią zboża: oczyszcza on je, klasyfikuje i — przechowywa. Ta jego dwójka działalności powołana zostanie do podniesienia jakości ziarna, czyli, co zatem idzie — jego wartości wymiennej, z drugiej zaś strony regulować będzie podaż zboża na rynkach zewnętrznych i wewnętrznych. Przy dotychczasowym rozdrobnieniu handlu zbożowego pomiędzy setkami małych kupców, nie posiadających dużych kapitałów obrotowych, ustalili się zwyczaj na rynkach krajowych zakupywania zboża nie w dużych partjach, lecz w stosunku do spożycia tygodniowego. Tymczasem wytwórcy-rolnicy, nie mogąc częstokroć puszczać w obieg swego zboża stopniowo i w drobnych dawkach, wysuwają je w znacznych partjach, prześcigających zwykle rozmiary konsumpcji tygodniowej. Stąd nadmierna podaż i fatalna dla wytwórców zniżka cen. To, co było pociechą dla spożywcy — obracało się na klęskę dla rolnika. Elewator temu zapobiega. Dając rękojmię całości i dobroci zboża i umożliwiając na zasadzie warantów kredyt gospodarzom wiejskim, pozwala im przeczekać niepomysłną dla nich chwilę przeładowania rynku. A wszystko to osiąga się za opłatą nieznacznego procentu. Elewator więc powinien być ideałem dla rolników. Urzeczywistni go naturalnie tylko wielki kapitał, pojedynczo lub w połączeniu. Gdy to się stanie — wybije ostatnia godzina drobnemu pośrednictwu wymiennemu, drobni kupcy ustąpią miejsca wielkim przedsiębiorstwom elewatorowym. Obecnie jednak instytucja ta stawia pierwsze kroki, nie ma jeszcze za sobą przeszłości w kraju, nie wykazała wartości użytkowej swoich usług i walczyć musi z rutyną gospodarzy wiejskich, którzy, przekładając pośrednictwo drobnych „przekupniów“, kładą się w poprzek drogi jej pochodu, zamiast barkami swymi ją podeprzeć. To właśnie zachmurza czoło pionierom ulepszeń handlu zbożowego; budzi obawę, żeby opieszałość w korzystaniu z usług tej instytucji, gdzie ona już zdołała korzenie zapuścić, nie skazała jej na przedwczesną śmierć w zarodku.

Ale znajdzie się i na to rada. Przeświadczenie o ważności elewatorów w sferach wpływów i władzy społeczno-gospodarczej jest już tak wielkie, że gdy na I-ym zjeździe taryfowym w Petersburgu podjęto wniosek ulg dla elewatorów, nie napotkał on wśród uczestników zjazdu ani jednego zarzutu zasadniczego, — rozchodzono się tylko w szczegółach. Na obradach postawiono następujące pytanie: czy wyższe oszacowanie ziarna skutkiem oczyszczania jego w elewatorach nie stanowi już samo przez się dostatecznego bodźca do korzystania z elewatorów? Zjazd orzekł, że nastąpi to dopiero wtedy, gdy zorganizowana zostanie cała sieć elewatorów w państwie i oczyszczane przez nie zboże stanie się poważną wielkością na rynku. Do tego czasu elewatory winny pozyskać inną rękojmią swego bytu. Tą rękojmią mogą być ulgi taryfowe, które zechcą poczynić koleje elewatorom, — opłata różniczkowa za przewóz w kierunku tych ostatnich.

Nie drzemie też i duch przedsiębiorczych wielkich posiadaczy ziemskich. Związali się oni w towarzystwo, które zamierza stworzyć całą sieć elewatorów w Rosyi, np. w Odesie, Sewastopolu, Chersonie, Nikołajewie, Kerczu, Akermanie, Berdiańsku, Maryupolu, Taganrogu i innych portach morza Czarnego i Azowskiego, jakoteż przy rzekach żeglownych, w najbardziej ożywionych punktach zbytu zbożowego i na stacjach kolei żelaznych. Elewatory portowe mają zostawać w ścisłym związku z wewnętrznymi. Przedsiębiorstwo to, jak zapewnia *Swennyj kraj*, posiadać ma 25,000,000 rs. kapitału, na który się złoży emisja 5% akcji, umarzanych w ciągu 38 lat. Towarzystwo czyni zabiegi o przyznanie sobie 1/2-kopiejkowej opłaty od puda zboża, wysy-

łanego do elewatorów na edukację... Te groszowe usługi przynosić im będą mizerny milion rubli rocznie!

Gdzie drwa rąbią tam wióry lecą. Dzisiejsza technika stosowana w portach, przystaniach i na stacjach kolei żelaznych w sprawie ładowania i wyładowywania towarów daje mnóstwu ludzi zajęcie; z chwilą zbudowania elewatorów zakres pracy ręcznej znacznie będzie zwężony: winda zastąpi mięśnie najmickie. Ale to nie — to przejdzie... Operacja będzie bolesna, ale rana się zagoi, przecież po amputacji można jeszcze kuleć, zanim matka-ziemia ulituje się. A jednak pomysł elewatorów, jako potężnej dźwigni regulacyjno-centralizującej, sam w sobie, gdy się odwróci oczy od cienia posępnego, który mu współczesne stosunki przyczepiają z tyłu — jest wspólnym nabytkiem cywilizacji. Jeden z takich nabytków, elewator południowo-zachodnich dróg w Odesie, świeżo zbudowany, nie zważywszy ani jednego kuta żyta, — zwęglił się z m., grzebiąc w popiołach pół miliona nakładu. Pozostała z niego tylko część. Kto wie, co pożar wzniecił — ręka przypadku, nieostrożności, czy zbrodni? Światło niejakie na przyczynę katastrofy rzuca następująca okoliczność, zapisana w gazetach odeskich. Niedawno policyant miejski (gorodowej), w czasie nocnych czatów spostrzegł nieopodal elewatora trzech robotników. Jeden z nich coś opowiadał towarzyszom z żywością, gestykulując prztem. Policyant zbliżył się do nich niepostrzeżony i wysłuchał następującą rozmowę:

— Tak, koniecznie trzeba mu puścić „czerwonego koguta“!.. My z jego powodu robotę stracimy... Po kiego djabła nam ten „lewator“...

„Niezadowolenców“ wsadzono do cyrkułu. Z badań okazało się, iż noszą oni nazwiska: Panasiuk, Beuza i Myszyn, a trudnią się — czarną robotą. Dwaj ostatni zeznali, iż Panasiuk namawiał ich do podpalenia. Fakt ten stoi osamotniony, tem niemniej jednak jest wybornym termometrem uczuć, które t. z. „bosa komenda“ czyli *Lumpen-proletariat* żywi dla tych nowych urzędników. Potwarza się tutaj to, co już historia wcieleń technicznych ulepszeń w przemyśle (maszyny) i żegludze rzecznej (parostatki) zapisała na Zachodzie...

Skorośmy już napomknęli o „czerwonym kogucie“, dowiedzmy się, ile mu Rosya w ciągu 28-lecia złożyła haracz. Oto są cyfry odnośnie, ogłoszone przez centralny komitet statystyczny. Na zasadzie wiadomości zawartych w raportach gubernatorów ogólna liczba pożarów wybuchłych w ciągu 28 lat (1860—1887) tylko w 49 guberniach Rosyi europejskiej wynosi przeszło 782,000. Spaliło się w nich 2,819,000 budowli, a ludność poniosła strat na 1,348 milionów rubli. A zatem „czerwony kogut“ pożarł prawie — półtora miliarda! Podatek za duży... *Ruskija wiadomości* obliczyły, że gdyby tę sumę rozłożyć na całą ludność 49 gubernij, okazałoby się, że na każdego mieszkańca miasta wypadłoby 1 rs. 16 kop. rocznego podatku, a na mieszkańca wsi, gdzie budynki są tańsze — 52 kop. To też rząd wydał niedawno cały szereg przepisów zapobiegawczych nakazał mieszkańcom zaopatrzyć się w narzędzia ratunkowe, a policyi dozór. Ponieważ jednak zło tkwi głębiej, bo aż w dobrobycie ludności, który pozostawia dużo jeszcze do życzenia, środki zalecone będą słabym lekarstwem. Tu tylko asekuracja przeciw-ogniowa mogłaby podciąć nieco skrzydełek „czerwonemu kogucikowi“, jeśli także potrafi wyminąć tenże szkopół ekonomicznych warunków.

Komisyja założona przy ministerstwie skarbu dla opracowania zagadnienia o środkach poparcia handlu i produkcji bawełny w ruskich posiadłościach środkowo-azyatyckich — ukończyła swoje prace. Jakkolwiek bawelnictwo w Turkestanie zrobiło znaczny postęp, nie oparło się jeszcze na

trwałym gruncie. Za najważniejszą przyczynę tamującą należyty zbyt bawełny interesowani podają brak prawidłowego a dostępnego kredytu. Otóż teraz stanie się zażość tym kwileniem niemowląt kapitalizmu. Komisya opracowała szczegółowy projekt udzielania przez Bank Państwa pożyczek na zastaw bawełny. Manipulacya ta ma się odbywać na takich samych zasadach, jakie są przyjęte przy dawaniu pożyczek na zboże przewożone kolejami. Pożyczki więc będą udzielane przez Bank na bawełnę, przeznaczoną do wywozu i złożoną w składach kolejowych. Bank Państwa gotów jest nawet w razie potrzeby budować sam w tym celu składy. Ale takie udogodnienia kredytowe pójdą na korzyść kupców. Nie pominięto jednak i plantatorów. Komisya oświadczyła się również za pożyczkami dla wytwórców w celu ułatwienia im nabywania lepszych gatunków nasion, narzędzi i przeprowadzenia irygacji. Tu jednak ten środek kapitalistyczny napotkać by musiał na przeszkodę miejscową. Produkcya bawełny turkestańskiej spoczywa w ręku drobnych gospodarzy-tubylców, których własność ziemska jest gminną. Ale wybrnięto z tej trudności: pożyczki będą przyznawane wprost spółkom wiejskim do rozdziału między członków. Wszystkie główne zasady projektowanego kredytu dla kupców bawełnianych zostały uznane, pożyczki zaś będą wydawane aż po powrocie p. Wysznegradzkiego z Turkestanu.

Kaukaz z Turkestanem będą prawdopodobnie w krótkie włączone do panującego w reszcie państwa systemu więziennego. Udał się już do tych prowincyj nacelnik głównego zarządu więziennego, p. Gałkin-Wraskij. W czasie tej wycieczki zwiedził ma wyspę „Oczeczeń“, leżącą na morzu kaspijskiem naprzeciw ujścia Tereku. Ponieważ Sachalin i Syberya mają za ostry klimat dla mieszkańca Kaukazu, jest podobno zamiar urządzenia na tej wyspie „katorgi“ dla przestępców tubylczej ludności.

Z. Atanazy.

O PRAWDĘ.

(W sprawie kulparkowskiej).

Akt oskarżenia, ogłoszony w pismach przeciw zarządowi szpitala w Kulparkowie na podstawie zażaleń chorego Zakrzewskiego, wywołał śledztwo urzędowe. Wysłana komisya, po zbadaniu świadków orzekła, że ujawnione fakty są po części fałszywe, a po części źle wytłumaczone, że podający je waryat nie uległ żadnym prześladowaniom i nie może być uznany za sędziego stosowanej doń kuracji, że przeto całe oskarżenie upada. Nie rozstrzygając jeszcze tej sprawy, zamieszczamy poniższe uwagi jednego z naszych współpracowników krakowskich w tym przedmiocie.

Trzeba więcej, niż zimnego usposobienia, trzeba chyba zupełnie stracić wiarę w drukowane, żeby nie odczuć tak gorąco pisanych skarg, zaprzeczyć faktom w tak jaskrawem przedstawionym świetle. Albo też — trzeba być fachowo świadomym rzeczy, znającym z doświadczenia przebieg takich spraw i pochwycić subtelności, które sprawę wkładają, a wiarogodność jej czynią wątpliwą. Ze sprawozdań dziennikarskich specjalista stanowczo orzecz, że podniesiono kopię w sprawie człowieka niewątpliwie obłąkanego — pokusiłbym się nawet o rozpoznanie: *Paranoia chronica*.

Jak duch Banka pokutuje dotąd w łamach prasy stara historia o złamaniu żeber hr. Dzieduszyckiemu. Ale cóż robić, gdy obłąkany w szal popadnie? Jeżeli obsługa liczna — kłopot mały. Jeden wdziawa kaftan na siebie i chwyta za ręce szalonego, drugi przenicowuje, że się tak wyrażę, kaftan z posługacza na chorego. Chory w paru minutach jest bez wielkiego wysiłku do

łożka przywiązany i bezwładny. Ale jeśli jest się sam na sam z szalonym? Jedyne można go uchwycić w pół, zachodząc mu ile możności z tyłu i podniesieniem w górę obezwładnić. Policzków i kopnięć, jakie w tej operacyi dostawać się zwykło, nawet mało inteligentny posługacz liczyć pewnie nie będzie, bo to chleb powszedni. Ale wracam do rzeczy. Trzeba wiedzieć, że ludzie podlegli zboczeniom umysłowym z powodu towarzyszących często zaburzeń w reszcie ustroju nerwowego, a więc i tak zwanych troficznych gałęziach nerwowych, miewają do tego stopnia krusze żebra, że dość, aby który raz się szarpnął, a w podobnym uścisku nie dwa, ale po pięć żeber z każdej strony pęknąć może. Radą tutaj jedyną byłoby uposażenie zakładu w dostateczną ilość posługaczy — myślę, że choć trzy razy taką, jaka jest dzisiaj — o tem zaś nie lekarze stanowią.

Zakrzewski gotów się stać drugim takim straszylem i odbierać niezbędnie potrzebnemu zakładowi zaufanie kraju; wiele zatem powinno zależeć na wyjaśnieniu dokładnem sprawy.

Pomijam zarzut: „nie leczono chorego.“ Każdy niemal chory tak utrzymuje, boć w leczeniu cierpień umysłowych najmniej mikstur i maści się używa. Zresztą wspomniany chory najprawdopodobniej jest nieuleczalnym, a w dodatku pokazuje się, że leczono go. „Zawijano w mokre prześcieradła, przykładano synapizmy, zastrzykiwano eter w okolicę w tym celu nieużywaną.“ W którą okolicę lekarz ma środki wstrzykiwać — trudno orzekać przy zielonym stole.

Kuracya hydropatyczna może być używaną do torturowania. Podczas praktyki wojskowej widziałem stosowanie jej t. zw. simulators. Jeden np. silny, rosły mężczyzna jękał się dla uniknięcia służby wojskowej. Zawinięto go w mokre prześcieradła i koce na czas od godziny 8 rano do 4 wieczorem. W południe dostał tylko różel i kieliszek wina, wody kiedy i ile chciał. Naza jutrz pauza. Trzeciego dnia znowu operacya wodolecznicza, a gdy piątego dnia przystępowano do niej po raz trzeci, simulators słabym głosem, bo pocenie się takie bardzo osłabia, ale bez śladu jękania się przemówił. Wołał trzy lata służby wojskowej, niż parę dni potów.

Niemniej jednak zarówno leczenie zawijaniem w mokre prześcieradła, jak wstrzykiwania, gorczyzniki, a ten ostatni bezsprzecznie we właściwym miejscu na karku przyłożono, jeśli chcieli spowodować odciągnięcie krwi z mózgu — w celach leczniczych nader częste znajdując wskazanie. Trzeba by tu bardzo biegłego psychiatry, a musiałby on bardzo dokładnie i szczegółowo w sprawie się rozpatrzyć, chorego długo obserwować, aby z czystym sumieniem orzec, że w danym wypadku środki owe nie były wskazane.

Mniejsza, że *Kuryer codzienny* chce prawidłowości umysłu Zakrzewskiego dowieść ustępem wyjętym z jego skargi: „*Ból moralny, jaki z powodu tego szatańskiego sponiewierania godności mojej, pod pozorem leczenia, czułem, opisać się nie da.*“ Ustęp to tak znamienity i tak częsty w pismach obłąkanych, że nieraz gwałtem nasuwa się pytanie: „czy też ten chory nie odpisał swych skarg od drugiego?“ Trudno jednak wymagać, aby wszyscy o tem wiedzieli.

Ale oto dalszy ustęp z artykułu *Kuryera*: „Czy człowiek obłąkany, a jak chciano nawet, furiat, mógłby podobną skargę napisać? Wszak wiadomą jest rzecz, że obłąkani, gdy w szal popadną, tracą zupełnie świadomość i nie wiedzą o tem, co się z nimi dzieło.“ Opuszczono tu jedno słowo: „wiadomą nam jest rzecz,“ bo powszechnie wiadomem jest, że to, czy obłąkany pamięta, co robił, czy nie — stanowi moment rozpoznawczy dla różnych form obłądów. Wielu chorych na umyśle popisuje się znakomitą pamięcią, niezmierną skrupulatnością i dokładnością opisów. Tysiące sofizmatów o tem, co stać się mogło — rzecz dla nich mało ważna, że się nie stało — tak powiążą z prawdziwymi szczegółami, że niemal niepodobna dowieść kłamliwości ich twierdzeń.

„Z. przyznaje, że był podrażnionym.“ I to już dużo. Znałem takiego, co nie był *podrażnionym*, ale tylko *osłabionym* nerwowo. Większa może część obłąkanych, odczuwając nieprawidłowość swego stanu, mówi o podrażnieniu lub osłabieniu nerwowem. Otóż znajomy mój w czasie logi-

cznej zresztą rozmowy zaproponował lekarzowi, że mu butelką czaszki strzaska, a za kwadrans go wskrzesi.

Dzienniki zarzuciły komisyi wydziału krajowego, że wysłuchała tylko jedną stronę, bo lekarzy, zakonnic i obsługę szpitalną — wielu i zdrowych ludzi. Same zaś oparły się prawie wyłącznie na skardze — jednego obłąkanego.

O ile wiem, Zakrzewski dotąd znajduje się w zakładzie, a niewątpliwą dla mnie jest rzeczą, że żaden prokurator nie spróbuje debiutu w tej sprawie. Przyjacielowi odradziłbym to z pewnością, bo za dużo miałby potem do czynienia z odczytywaniem i dochodzeniem bezpodstawności skarg, nie samych już waryatów, przebywających w zakładach, ale i ich rodziny. Jeśli bowiem jest rzeczą pewną, że z wszystkich fachów największą popularnością cieszy się sztuka lekarska, to z działów jej najwięcej znowu zwolenników ma niewątpliwie psychiatrya.

W całej batalii dwa widzę zarzewia. Pierwszem — walka *Dziennika polskiego* z wydziałem krajowym. Ale to sprawa teatru, zostawiam ją na boku. Drugiem — poznanie się z dziełem Schrödera, który wystąpił z twierdzeniem, że nie lekarze, specjaliści, bo tym ufać nie można, ale owszem laicy powinni rozstrzygać sprawy dotyczące obłąkanych. *Dziennik polski* pomieścił niedawno recenzję tego dzieła, a teraz składa dowody, o ile Schröder miał w niem rację.

Uhma.

KRONIKA.

Sprawy szkolne. W Rydze zawiązało się towarzystwo pomocy dla uczących się w zakładach naukowych kraju bałtyckiego. Fundusze tego towarzystwa złożą się z wkładek członków honorowych i rzeczywistych, z ofiar pieniężnych i książek, z dochodów osiągniętych z koncertów, odczytów itp. Towarzystwo podejmuje się wnoszenia wpisów dla uczniów niezamożnych, zaopatrywania ich w książki, odzienie, a na wypadek choroby — leczenia swoimi kosztami. Tym, którzy ukończyli kurs, ułatwiać będzie przejazd do miast w celu dalszych studyów. Nasza niezamożna młodzież szkolna znajduje się w tych samych warunkach, co w kraju nadbałtyckim — niech zapamiętają to filantropi nasli...

— Do uniwersytetu kijowskiego na 157 kandydatów żydów przyjętych będzie tylko 43.

— Profesorowie wydziału prawnego w uniwersytecie warszawskim, pp. Walenty Miklaszewski i Antoni Okolski pozostaną na zajmowanych dotychczas katedrach przez dalsze pięćlecie.

— W Jekaterynosławiu mają być otwarte warsztaty, w których kształcić się będą mechanicy przeznaczeni do obsługi maszyn rolniczych.

— Do szkoły sztygarów w Dąbrowie górniczej w r. z. szkolnym przyjmowano najchętniej takich kandydatów, którzy odbyli praktykę w kopalniach. W roku bieżącym zaś, według *Tygodnia* piotrkowskiego, stale wymaganiem będzie świadectwo rocznej praktyki. Tylko w razie niedostatecznej ilości kandydatów mających rzeczne świadectwa, przyjmowani będą i inni. Również i do egzaminu dopuszczani będą na przyszłość przez zarząd tylko zaopatrzeni w ten dokument.

— Pani Zofia Roszkowska uzyskała koncesyą na otwarcie zakładu wychowawczego bon i piastunek. W koncesyi postawione są następujące warunki: 1) nie wolno przyjmować kandydatek należących już do stanu nauczycielskiego, 2) żadnych wykładów w formie lekcyj i uczenia obcych języków urządzić nie należy. Zakład poprzestanie na obznajmieniu kandydatek, jak mają postępować z dziećmi różnego wieku, oraz zapoznaniu ich z metodą froeblovską, której później do zajęć i zabaw dzieciennych będą mogły zastosować.

Przemysł i handel. *Gazeta losowa* zaprzecza twierdzeniom pism ruskich, jakoby skutkiem poprawy kursu rubla przywóz towarów zagranicznych się powiększył. Owszem, urzędowe dane tego mniemania nie usprawiedliwiają. Wykazy komór do stycznia do czerwca r. b. stwierdzają zmniejszenie dochodów celnych o 3,926,000 rs.

— Dla skierowania wszystkich towarów, idących do Gdańska i innych portów pruskich do ruskiego portu w Windawie, ta ostatnia ma być połączona kanałem z rzeką Dubissą, dopływem Niemna.

— We wsi Sączew, pow. będzińskiego, w lasach rządowych odkryto pokłady węgla kamiennego, obejmujące 406 morgów 159 pretów przestrzeni. Wydział gruntów pod kopalnię nastąpi 7 października r. b.

— Zbiory bawełny w Stanach Zjednoczonych przyniosły w r. b. 7,311,332 bel. Urodzaj ten przewyższa najwspanialsze dotychczas zbiory o 265,489 bel, a zeszłoroczne o 373,032.

Życie społeczne. Komisja przy ministerstwie spraw wewnętrznych obmyśla środki wzmocnienia kolonizacji kraju południowo-usuryjskiego. Zamierzone jest opodatkowanie wszystkich chłopców i korejczyków, mieszkających w tej prowincji. Dla tem trwalszego załudnienia Usuryi, wychodźcom ruskim nadawane będą działki wśród ziem, zajętych przez tubylców.

— Zmarła w Rzymie Józefa Komornicka uczyniła zapis 15,000 rs. na nagrody dla polskich kompozytorów muzycznych. Testatorka przeznacza odsetki od tej sumy na nagrody za trzy najlepsze utwory muzyczne, jakie w trzyletnim okresie wyszły z druku i publicznie były wykonane. Do nagród modą się kwalifikować wszelkie oryginalne utwory: opery, symfonie, pieśni itp., ale kompozytor musi być pochodzenia polskiego i chrześcijańskim...

Zdrowie publiczne. Departament lekarski ministerstwa spraw wewnętrznych odezwał z d. 23 sierpnia r. b. (s. stylu) p. Julianowi Ochorowiczowi, jako nie posiadającemu stopnia lekarza wzbronili trudnić się leczeniem wszelkiego rodzaju chorób, jak również stosowaniem hipnotyzmu. Żeby zakaz był ściśle spełniony, na władze policyjne włożono obowiązek dozoru nad hipnotyzerem.

— Nowa ustawa, dotycząca aptek i mająca wejść w wykonanie z rokiem przyszłym, zaprowadza wagę dziesiętną w aptekach i powierza kierownictwo nad niemi tylko farmaceutom, usuwając zupełnie felcerów.

— Budowa miejskiej kamery dezynfekcyjnej w Warszawie jest zapewniona. Magistrat na ten cel oddaje plac około 30,000 łokci kwadratowych na Koszykach. Będzie ona zbudowana kosztem inżyniera-technologa, p. Klebera, według najnowszych wymagań techniczno-hygienicznych. Główny kierunek nad nią powierzony ma być znanemu d-wi Nenckiemu. Zadaniem kamery będzie dezynfekcja ubrań rekonwalescentów szpitalnych, którzy przebyli choroby zaraźliwe itp.

— W celu uzdrowienia wielu miast gubernialnych i powiatowych, departament medyczny zamierzył ustanowić w Królestwie Polskim stałe komisye sanitarne, na wzór istniejących w Cesarstwie.

Sprawy kolejowe. Konwencya międzynarodowa w przedmiocie przepisów, dotyczących przewozu towarów kolejami — bliska jest wprowadzenia w wykonanie. Projekt odnośny z małemi zastrzeżeniami, nie uznającami udzielenia „refakcyi,” przyjęty został ostatecznie przez radę związkową niemiecką oraz przez ruską radę państwa. Zawiadomiony o tem rząd szwajcarski, który pierwszy w latach 1878, 1881 i 1885 powołał był na obrady w tej sprawie do Berna delegatów Austro-Węgier, Belgii, Francji, Holandii, Luksemburga, Niemiec, Rosji i Włoch, — zaprosił je obecnie w drodze dyplomatycznej do wysłania na dzień 13 października do Berna delegatów, dla usunięcia spornego punktu „refakcyi” i ostatecznego podpisania rzeczonyj konwencyi.

— Złożony w departamencie kolejowym przez koleją wiedeńską projekt taryf bezpośredniej komunikacji w związku rumuńsko-galicysko-gdańskim został już zatwierdzony, z wyjątkiem stawek na przewóz ryżu i śledzi do stacji, położonych na wschód od Lwowa. Ze względu na te ostatnie rząd ruski polecił odnośnym kolejom ruskim porozumieć się z drogą austriacką Karola-Ludwika, w celu wyrównania opłat przewozowych na ryż i śledzie ze Szczecina i Gdańska do Brodów i Podwołoczysk z odpowiedniami opłatami podług szematu taryf przewozowych z Gdańska przez Mławę i Kowel oraz z Królewca przez Grajewo do Radziwiłłowa i Podwołoczysk.

Gruźlica. Profesor Koch w jednym ze szpitalów berlińskich robił ma na ludziach próby z nowym środkiem leczenia suchot.

— **Zmarli.** Stanisław Mikucki, profesor wydziału filologicznego w uniwersytecie warszawskim, w wieku 76 lat. Był to wielki eurydyta językoznawczy, dziwak i kapcan znany.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Pani Adeli C. Utwór jeszcze niedojrzały.

Pani Annie Ros. Nie dla nas.

Panu Tom. To nie do druku.

Panu A. Sal. W opracowaniu za mało artysty.

Panu F. P-l. Dla takich rozpraw nie mamy miejsca.

Uwaga. Redakcyja rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

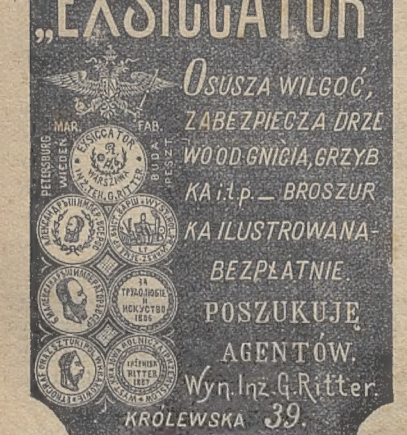
O G Ł O S Z E N I A.

Najtrwalsze
Posadzki z Terrakoty
(Mettlach).
Pieczę, Majoliki,
Kuchnie angielskie
Wanny majolikowe i Taflę glazurów do ścian.
Maxymilian Harezyk,
Warszawa,
Krak. Przedm. Nr. 7.



Nagrody z Wystaw za skuteczność:
Warszawa 1885, Warszawa 1886, Kraków 1887, Symferopol 1888.

!!TYSIĄCE ŚWIADECTW!!
PEWNY ŚRODEK
„EXSICCATOR”
Osusza wilgoć,
ZABEZPIECZA DRZEWO
WOOD GNICIA, GRZYB
KAI t.p. — BROSZUR
KA ILUSTROWANA
BEZPŁATNIE
POSZUKUJĘ
AGENTÓW.
Wyn. Inż. G. Ritter.
KRÓLEWSKA 39.



Uwaga. Upraszam o zwrócenie uwagi na markę fabryczną, gdyż wiele pojawiło się falsyfikatów.

Apteka WENDY i WIOROGÓRSKIEGO
45 Krakowskie-Przedmieście, w Warszawie.
posiada na składzie
Barwniki, Narzędzia, Naczynia
i inne środki pomocnicze
do robót mikroskopowych.

„Na Raty”
Lustra
sprzedaje miejscowym i na prowincy
Fabryka zwierciadeł
MAURYCEGO Silberberga
8, Rymarska, 8.
Z powodu istniejących firm podobnych uprasza się o zwrócenie uwagi na
dokładny adres i Nr. 8.

DYNOS' EAMENIKOS

Wina Greckie
znakomitej dobroci w 6-ciu gatunkach.
Skrzynki po 12 Butelek w cenie
Rs. 10 kop. 80
wysyłają do wszystkich stacji w Królestwie franco.
Bracia Kempnerowie, Długa, 5.

METODYCZNY KURS NAUK
obejmujący: naukę o religii, naukę o rzeczach, jęz. polski i francuski, arytmetykę, nauki przyrodnicze, geografję, historję, kaligrafję i rysunki, wychodzić zaczął w **Przeglądzie Pedagogicznym** od d. 1 października r. b. W „kursie” tym podany jest **plan** całej nauki, najlepsze **podręczniki** do każdego z przedmiotów i **wskazówki**, czego i jak z podręczników tych uczyć należy. „Przegląd Ped.” zamieszcza artykuły: o higienie, wychowaniu i metodach nauczania, postępach pedagogiki zagranicą, grach i zajęciach dla dzieci etc.; udziela czytelnikom **porady** we wszelkich kwestiach wychowawczych; **pośredniczy** między rodzicami i nauczycielami przez bezpłatne zamieszczanie **zadań**. — **Prenumerata** „Przeglądu”: kwartalnie rs. 1 kop. 50, z przesyłką rs. 1 kop. 75. — **Adres Redakcyi:** Warszawa, Widok, 14.

Wina Stołowe
od kop 35 za butelkę.
SZAMPANSKIE
CHs. FARRE | GUBONINA
z Reims z Krymu
poleca reprezentant
Leon Kirsztot-Prawnicki,
Erywańska Nr. 5, w Warszawie.

Do AMERYKI.
BILETY JAZDY

Holendersko-amerykańskiego Towarzystwa żeglugi parowej
w Kantorze Ekspedycyjnym
MAURYCEGO LUXEMBURGA,
Jeneralnego Agenta Towarzystwa
w Warszawie, Erywańska 6.
Wszelkie objaśnienia szybko i bezpłatnie.

Najkrótsza, najszybsza i najtańsza podróż.

„Na Raty”
wszelkie Towary łokciowe,
Wyprawy i Okrycia damskie.
Wiadomość: Marszałkowska 114, w Składzie bielizny Konkurencyja.
Pince-nez, Okulary, Perspektywy teatralne, wyłącznie z pierwszorzędnych fabryk w najnowszych fasonach, poleca „najtaniej” optyk JULJAN DREHER, Szpitalna Nr. 6, w Warszawie. — Wszelkie reperacye przyjmuje.

Analizowane Wina
uznanej dobroci
poleca
Centralny Skład Win firmy Braci Bette
Nr. 1, Bielańska Nr. 1.